

Kamena

Wychodzi od 1933 r.

W NUMERZE:
„Ziemia
i Pieśń”

LUBLIN 11.IV.1971 Nr 8 (467)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 2 ZŁ

W obronie sublokatora

Bogdan Madej

PRZYKŁAD pierwszy: cztery uczennice wynajmują u emerytki wspólny pokój. Każda płaci za łóżko z własną pościelą ustawioną we wspólnym pokoju po 250 zł. Emerytka lubi pieniądze, nie lubi młodych ludzi. Widok śpiących wieczorami nad książką czterech dziewcząt przyprawia ją o ciężką irytację. Dziewczeta mają obowiązek płacić regularnie 250 złotych od osoby, natomiast nie mają praktycznie praw do niezłego prócz koryzowania ze swoich łóżek. Mają obowiązek dźwigać z piwnicy na trzecie piętro węgiel na ogrzewanie wspólnego z emerytką pokoju, nie mają prawa do codziennych ablucji przepisanych względami współczesnej higieny. Emerytka lubi tysiąc złotych miesięcznie, nie cierpi młodych ciał obnażanych skromnie w czasie symbolicznych kąpiel. Emerytka nie znosi wieśniaków. Odwiedziny rodziców czterech dziewcząt odbywają się zimą w klatce schodowej, wiosną i jesienią w parku lub na ulicy. Emerytka nie lubi wieśniaków, kocha natomiast ich pieniądze i nie gardzi podbieraniem wiktualów przywożonych dla córek przez chłopów o czarnych sekatach paluchach. Emerytka lubi wszystko, co przynosi zysk, ale nie lubi zobowiązań, których nie wygryzewuje od niej żadna z szesnastoletnich dziewcząt wchodzących w życie przez twarde próg wspólnego mieszkaniowego pokoju.

Przykład drugi: ogłoszenie w prasie: „Samodzielnny pokój, komfort, tysiąc złotych miesięcznie, płatne za rok z góry”. Młode bezdzietne małżeństwo na dorobku, oboje po studiach, sytuacja przymusowa, bo gdzieś mieszkać trzeba. Umowa, jak zawsze, ustna. Właściciel domku nie przyjmuje do wiadomości próby obojga lokatorów uzyskania na papierze jakichś takich gwarancji. Młode małżeństwo musi wnąć ten pokój. Po tygodniu okazuje się, że pokój nie jest samodzielny, ale przechodni: żona właściciela wychodzi wtedy na balkon i robi to wieczorem, w porze dla młodego małżeństwa nieostojowej. Po dwóch tygodniach okazuje się, że zawarowane w ustnej umowie korzystanie z kuchni jest mrzonką. Po trzech tygodniach dochodzi do pierwszej scysji spowodowanej przez

właścicieli. Zużycie światła zostaje radykalnie ograniczone. W komfortowym mieszkaniu wykopać się nie można. Pranie bielizny osobistej nie wchodzi w grę, bo w komfortowym mieszkaniu zadomowi się grzyb. Nie ma mowy o błyskawicznych posiłkach dla dwojga młodych ludzi przyrządzanych w pokoju na elektrycznej kuchence. Nie wolno myśleć o dziecku. Po dwóch miesiącach właściciel i jego żona prowokują awanturę za awanturą. O wyprasowane spodnie i wyprasowaną spódnice. O przedłużenie dnia do godziny jedenastej (zużycie prądu). O niedomknięte drzwi, o drzwi zamknięte nie w porę. O to, że młode małżeństwo nie pomaga przy wnoszeniu nie swojego węgla, że pokój wart jest nie tysiąc lecz dwieście złotych miesięcznie, że ich małżeństwo nie jest warte. Młoda kobieta pomawia się o predyspozycje kuryżany i przekonuje się ją o niewierności męża. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu młode małżeństwo przemienia się w parę netropiatów. W końcu nie wytrzymuje. Po kilku dodatkowych scysjach rezygnuje z mieszkania. Pośna wygryzewowania nie dochodzi do ośmiu tysięcy złotych kończy się fiaskiem, bo pokój był płatny za rok z góry, pieniądze przyjmowane bez świadków i bez pokwitowania, a umowa ustna. Choć wina leży po przeciwnej stronie, sąd ustali jedynie prawdę materialną niekorzystną dla sublokatorów. Po paru dniach znów nie ukazują ogłoszenie w prasie: „Samodzielnny pokój, komfort, tysiąc złotych miesięcznie, płatne za rok z góry”.

Przykład trzeci: piętrowa przytulna willa. Właściciele wynajmują trzy pokoje na piętrze, pokój i kuchnię w suterenie. W jednym pokoju młoda księżowna za sześćset złotych, w drugim dwóch kawalerów po trzysta pięćdziesiąt złotych od osoby, w trzecim za sześćset złotych inżynier, w suterenie stolarz za pięćset złotych. Razem miesięcznie dwa tysiące czterysta złotych.

Pokój nr 1 — panna — młoda księżowna. Idealny lokator. Nie pomaga chodzenie na palcach, sprzątanie łazienki i korytarza, obowiązkowe otwieranie drzwi właścicielom. Nieza-

Dokończenie na str. 5

POKER POD SEMAFOREM

Romuald Wiśniewski

ZANIM wybuchła sprawa gwałcenia dziewczyny, przeszło trochę mniejszych burz. Na stację dostarczono dwadzieścia wagonów węgla i trzeba je było przeladować szybko na wąską tor. A tu wąskotorówka nie podeszła na czas taboru. Wtedy zawiadowca stacji szerokiej zaczął ochrzaniać zawiadowcę wąskiej: że to guzik nie robota, przez niego wagony będą przetrzymane i w ogóle.

— Łatwo mówić. Panu mogę przysłać 100 wagonów na raz, bo tyle im się zgrupuje. I pan będzie żądał, żeby od ręki przeladował — powiedział zawiadowca Wąskiej. — Ale na naszej linii kraży określona ilość wagonów. Musimy obsłużyć nią wszystkich potrzebujących. Dodatkowego taboru nie dostaną, bo linia nie ma styku z innymi wąskotorówkami. Wieczorem przyjdzie pusty zestaw towarowy i będę przeladowywał. Teraz nie mam nawet lokomotywy do przetoczenia tych paru wagonów, które stoją pusto.

— Wieczorem? — złapał się za głowę zawiadowca Szerokiej. — Niech ja skonom! Wagoniki jak pudełka zapalek i trzeba czekać wieczora. Proszę pana, jakby pan był prawdziwym chłopem, przeladowałby pan sam. No, no, dobrze! Ja pana nauczę roboty.

— Panie zawiadowco, proszę się nie zapominać — upomniał Wąski. — Jestem zawiadowcą stacji I klasy, a pan stacji III klasy. Lekcja panu może być przydać.

Z klasami była prawda. Stacja szeroka, choć przepuszcza 120 pociągów na dobę, ma trójkę, a wąskotorówka, końcowa na trzydziestokilokilometrowej trasie, mierzona jednak innymi kryteriami, jedynkę. Szerokiemu krew uderzyła do głowy:

— Panie zawiadowco! Tylek mogę wypiąć na taką stację, jak pańska. Rozumie pan, proszę pana? Tylek! A taką pańską loko-

Dokończenie na str. 6-7

Dyskutujemy odważnie i rozważnie

DYWAGACJE KONTROWERSYJNE

Od dawna wydaje mi się, że żadnego rodzaju „odchylenia” na prawo czy też na lewo w dziedzinie polityki i ekonomiki nie są „odchyleniami” absolutnymi, ale w okresach swego tworzenia się i narastania przedstawiają się jako jakości konkretne, tzn. odnoszące się do aktualnie istniejących sytuacji. Źródłem każdego odchylenia jest po prostu błędna ocena przesłanek wynikających z postrzegania otaczających nas zjawisk życia, bądź ignorowanie tych przesłanek. W tym drugim przypadku filozof-marksista powiedziałby chyba, że wystąpił zasadniczy błąd w metodzie marksistowskiego myślenia, które wychodzi od konkretnego i poprzez abstrakcję do konkretnego powraca („od postrzegania, do abstrakcyjnego myślenia, od abstrakcyjnego myślenia, do konkretnego

działania”). Ktoś zapomina o zasadzie i popełnia błąd, powodując powstanie tej samej jakości łańcucha skutkowo-przyczynowego.

Ktoś inny tłumaczy po raz enty: „na błędach się uczymy” i znów popełnia metodologiczny błąd, tym razem polegający na unikaniu myślenia abstrakcyjnego, które odnosi nie zjawiska ponawianego błędu musi prowadzić do jego oceny i wyciągnięcia racjonalnego wniosku, ale zupełnie innego niż za pierwszym razem. W takim przypadku wniosek musi być tylko jeden: jeżeli ktoś w ciągu 25 lat nie nauczył się racjonalnie myśleć, to dłużej na nim polegać nie można i trzeba go zastąpić kim innym. Natomiast absurdem jest cieszyć się z błędów jako rękoma poprawy, szczególnie kiedy historia się powtarza. Powiedzmy więc sobie jasno: błędów mamy dość i tego rodzaju lekcji wcale sobie nie ży-

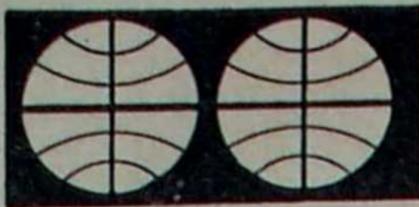
czymy! Każde usprawiedliwienie błędów jest — mówiąc najogólniej — nieporozumieniem, szczególnie kiedy błędy przynoszą skutki tak katastrofalne, jak niedawna sytuacja ekonomiczna kraju i pochodne od niej wydarzenia na Wybrzeżu. A ponieważ błędów mamy dość, ich nosiciele odchodzą wraz ze swymi bezkrytycznymi pomocnikami.

Tu trzeba powiedzieć, że w jakimś niezamierzony sposób powstał zresztą wentyl bezpieczeństwa skutecznie zapobiegający przed podjęciem rzeczowej dyskusji w sytuacjach kontrowersyjnych. W formach życia partyjnego, ugruntowanych szczególnie mocno przez prasę, radio i telewizję, wykształcono dystans między szczeblami, między ludźmi z różnych szczebli. Doszło do tego, że więcej znaczył

Dokończenie na str. 8



Fot. Sokolowski (CAF)



Literatura

* Młodzież z kółka polonistycznego w Inowrocławiu przeglądając pewne zbiory bibliofilskie znalazła rękopis nieznanej wiersza Marii Konopnickiej „Najkrwawsze pole”, który powstał w październiku 1880 roku i został napisany dla krawężki bibliofila, dziś 90-letniej kobiety.

* Zdzisław Wróbel z Bydgoszczy ukończył sztukę „Patrol”, której bohaterem jest amerykański żołnierz w Wietnamie, przeciwstawiający się okrucieństwu swoich towarzyszy broni, i rozpoczął pisać sztukę o Mikołaju Koperniku.

* Młody poeta Edmund Puzdrowski, autor trzech tomów wierszy, zdedykował jako prozaiak książkę „Białe są słowa milosierdzia”. Dalsze plany — dwa tomy wierszy i znów tom prozy.

* Wkrótce powstanie w naszym handlu hurtowym nie są wielkie, a przekazywane książki na przedmiot należy do wyjątków. „Składnica księgarska”, monopolista w skali krajowej, posiada niecałe i min egzemplarzy. Pamiętać należy, że roczna produkcja książek w naszym kraju wynosi około 120 mln egzemplarzy, ich wartość rynkowa około 2 mld zł.

* Z okazji rocznicy Kopernika warto przypomnieć, że przez kilkadziesiąt lat wielkiemu astronomowi przypisywano autorstwo siedmiu wierszy, opublikowanych już po jego śmierci przez Jana Brodka, profesora Akademii Krakowskiej. Jeszcze w okresie międzywojennym tak uważało wielu badaczy. Dziś ta wersja ma mało zwolenników, ale wciąż nie wiadomo, kto jest autorem „Septem sidera”.

* Ankieta, przeprowadzona wśród 11 tys. mieszkańców Leningradu, wykazała, że większość młodych ludzi posiada własne księgozbiory. Ponad 60 proc. czyta książki, ponieważ pragnie poszerzyć swoje wiadomości, a tylko 10 proc. woli, w nich jeden ze sposobów przyjemnego spędzenia czasu. Do najpopularniejszych autorów zagranicznych należą: Balzac, Hugo, Dreiser, Dickens, Zola, Cronin, London, Maupassant. Młodzi robotnicy najchętniej czytają utwory Dreisera; natomiast inżynierowie i studenci Hemingwaya.

Teatr

* Za ciekawsze wydarzenie teatralne w Krakowie uważa się wystawienie w Teatrze Rozmaitości „Chłopów” Reymonta w adaptacji Krystyny Berwińskiej i Wandy Wróblewskiej, a reżyserii Wandy Wróblewskiej.

* Wrocławski „Pantomima” H. Tomaszewskiego wystąpił z prapremierą dziewięciu programów — „Sen nocy listopadowej”, według scenariusza i w reżyserii Henryka Tomaszewskiego. Jest to wizja dramatyczna tematu Wyspiańskiego z „Nocy listopadowej”, ilustrowana m. in. muzyką Chopina.

* Warszawski Teatr Dramatyczny wystawił „Juliusza Cezara” Szekspira w reżyserii Ludwika Rene. Grają m. in.: M. Milecki, I. Gogolewski, Zb. Zapasiewicz, G. Holoubek i J. Żelinko.

* Teatr Powszechny w Łodzi podpisał umowę o współpracy z rumuńskim Teatrem Narodowym w Craiova. Już w tym sezonie lodzianie wystąpią i raz w Rumunii — naturalnie na prawach wzajemności.

* Krakowski teatr studencki „35” wyjeżdża na 2 tygodnie do Hiszpanii, gdzie da 15 spektakli z sztuk: „Księga Hioba” i „Lot”.

* Związek Teatrów Amatorskich zmienił nazwę na Towarzystwo Kultury Teatralnej. Prezesem został Stanisław Adamczyk, red. naczelny „Tygodnika Kulturalnego”.

Sztuka

* Muzeum Zup Krakowskich w Wieliczce zwiedziło w ub. roku 199 tys. osób, w tym 39 tys. cudzoziemców z 22 krajów. W muzeum znajduje się księga pamiątkowa kopalni, a w niej m. in. podpisy Chopina, Goethego, Konopnickiej, Matejki i Prusa.

* Na Rzeszowszczyźnie w muzeach i składach znajduje się około 2 tys. ikon. Muzeum Historyczne w Sanoku, mieszczące się w tej części zamku, w której Jagiello brał ślub z trzecią żoną, ma najbardziej wartościowe zbiory, razem 600 ikon. Najcenniejsza pochodzi z drugiej połowy XIV w., największa, przedstawiająca „Św. Ostateczny”, posiada wymiary 290 x 178 cm.

* W czerwcu została zorganizowana po raz pierwszy „Dni Polkloru Warmii i Mazur”. Miejscem imprezy będzie Rzeszów, a głównym momentem — wojewódzka wystawa twórczości ludowej, pamiątkarska i plastyki amatorskiej. Obok kilku imprez towarzyszących odbędzie się jarmark sztuki ludowej oraz sympozjum naukowe, poświęcone twórczości ludowej tego regionu.

* Jak pisał włoski dziennik „Epoca”, władze miejskie Florencji od czasu słynnej powodzi, która zalała wiele niezwykle cennych zbiorów muzealnych i bibliotecznych, nie przeznaczyły dotychczas ani grosza na uregulowanie brzożę rzeki Arno, której wylew spowodował katastrofę w 1966 roku. Niedawno miasto otrzymało złoty medal za dzielność mieszkańców w ratowaniu zbiorów, ale nie robi się nic, aby zapobiec nowej katastrofie.

* Gdy Tytania miała już 78 lat, namalował dla króla hiszpańskiego obraz „Śmierć Akteona”. Obraz nigdy nie dotarł do króla, a był własnością różnych arystokratów angielskich, ostatnio spokrewnionej z królową rodziny Harwood. Obraz zostanie teraz wystawiony na licytację, aby zasilić kasę rodziny.

Muzyka

* W dniach od 8 do 11 lipca odbędzie się w Kolobrzegu V Festiwal Piosenki Żołnierskiej. W specjalnym koncercie weźmie udział piosenkarz państw demokracji ludowej. Organizatorzy zapowiadają dwie nowości. Pierwsza — tematyka związana z polskim morzem. Druga — konkurs kompanii Wojska Polskiego, polegających piosenki w czasie przemarszu przez ulice miasta.

* W Domu Kultury kopalni „Niel-szwec” w miesiącu odbywała się koncerty dla górników. Ostatni poświęcony był „Muzyce Warszawskiej” Artystów

przekazali dochód na odbudowę Zamku Królewskiego.

* Ośrodek Informacji i Kultury Polskiej w Budapeszcie przekazał bezpłatnie wybitnym młodym węgierskim muzykom nuty utworów naszych czwórnym kompozytorów. Akces do akcji zgłosiło 33 muzyków, odbyło się już 5 koncertów, na których publiczność węgierskiej zaprezentowano 18 polskich kompozytorów współczesnych.

* W zachodniomiejmieckim mieście Krefeld-Moenchengladbach odbyła się premiera „Strasznego dworu” Moniuszki. Dyrygował dyrektorem muzycznym — Robert Satorowski, reżyserował Sławomir Żerdziński, kostiumy Andrzej Sadowskiego, choreografia Konrad Drzewiecki. Poprzednio Satorowski wystawił „Chwałaszczyne” Musorgskiego.

* W listopadzie odbędzie się w Dakarze, stolicy Senegalii, międzynarodowy festiwal jazzowy. Obok słynnych zespołów i solistów zawodowych zaprezentowany zostanie po raz pierwszy szerszej publiczności afrykański jazz amatorski.

Film

* W Łodzi rozpoczęto realizację pełnometrażowego filmu sensacyjnego „Spadkobiercy pani Zuzi”. Ten kolorowy film jest oparty na autentycznych wydarzeniach, związanych ze zlikwidowaniem w Warszawie międzynarodowego ośrodka handlarzy narkotykami i diamentami. Główną rolę gra Ryszard Filipiak.

* Krzysztof Zanussi ukończył swój drugi film fabularny — „Życie rodzinne”, według własnego scenariusza. Główną rolę gra Daniel Olbrychski. Z tej okazji reżyser powiedział m. in. w wywiadzie: „W istniejącej strukturze organizacyjnej naszej kinematografii nikt nie odpowiada za ostateczne efekty produkcji filmowej. Nastąpiło zbliżenie do produkcji, przejął ją urzędu nad twórcami. Powstają utwory słabe, które nakreśla się byle jak, a ich realizacja pochłania tyle trudu i środków, co filmów ambitnych”.

* Wytwórnia MM „Mosfilm” podjęła prace nad trzema filmami, opartymi o twórczość Czechowa. Reżyser Julij Karasik nakreśla „Czajkę”, Andrej Michaluk-Konczalowski „Wujaszka Wanie”, a Michal Szwajcer „Karuzelę” — ten ostatni film powstaje na podstawie aż 19 opowiadań. Warto przypomnieć, że znany aktor Laurence Olivier niedawno przeniósł na ekran „Trzy siostry”, reżyser amerykański Sidney Lumet także „Czajkę”, a Luciano Visconti zabiera się do „Anny Kareniny”.

* Angielskie Towarzystwo Ochrony Widzów wystąpiło o zwrot pieniędzy w filmach brytyjskich. „Dzieci wiskarsze na drzewach, kobiety chwytały na haczyki do łowienia ryb, fontanny krwi tryskające z przebitego serca — oto sceny coraz częściej oglądane” — głosi protest Towarzystwa.

Różne

* Kazimierz Wyka zapowiada dwie nowe książki. Pierwsza będzie monografia o Jacku Malczewskim, tytuł „Tanatos i Polska”. Druga obejmie trzy tomy wyboru prac esejistycznych. „Czas” będą traktowały o sprawach historyczno-politycznych, „Puls” to wspomnienia o zmarłych pisarzach, wreszcie „Muzy” obejmą rozważania o różnych sztukach poza literaturą.

* Henryk Baranowski, kustosz biblioteki Uniwersytetu M. Kopernika, opracował bibliografię Torunia, w której odnotował około 45 tys. pozycji krajowych i zagranicznych, także w czasopiśmie i prasie codziennej. Praca ma być opublikowana w rocznikach Tow. Naukowego.

* W Starym Smokowcu w Słowacji odbył się Tydzień Kultury Polskiej, obejmujący wystawy, sprzedaż wyrobów sztuki ludowej i płyt, koncerty chopinowskie i pokazy filmów polskich.

* W belgijskiej miejscowości Rijkhoven spalił się jedyny w zachodniej Europie zamek, należący kiedyś do króla krzyżackiego. Miał on być wykupiony i oddany do użytku turystów.

* Pablo Neruda został mianowany ambasadorem Chile we Francji, gdzie przebywał to z wielkim zadowoleniem. Neruda był już poprzednio konsulem w Barcelonie (od 1941 r.).

* „Miejscowe zniechęcenie”, ostatnia książka Guentera Grassa, który w grudniu towarzyszył kanclerzowi Brandtowi do Warszawy, cieszy się wielkim powodzeniem nie tylko w NRF. Grass, mimo że sam siebie nie uważa za działacza politycznego, zabiera głos w wielu aktualnych sprawach, działa na rzecz zbliżenia z NRD i Polską.

* Profesor amerykańskiego uniwersytetu Harvard, Bryan Patterson, twierdzi, że odnalazł ostatnio cenne ludzkie szczeki pochodzący sprzed 5,5 miliona lat. W ten sposób rodowód człowieka przesuwa się o półtora miliona lat.

* Z rosyjskiej cerkwi prawosławnej w Berlinie zachodnim skradziono złote i srebrne ikony oraz inne cenne przedmioty wartości ponad miliona marek.



Helena Bonse, grająca główne role w wielu filmach szpiegowskich.

Starość i polityka

TEJ książki nie widzieliśmy. Z jej treścią zapoznaliśmy się dzięki recenzji, jaka ukazała się na łamach „New York Review”. Wydaje się nam, że rzecz, na pewno zresztą kontrowersyjna, zainteresuje i naszych czytelników.

Recenzja poświęcona jest książce, której autorem jest dr Hugh L'Etang („THE PATOLOGY OF LEADERSHIP”). Pisze on o zgubnym wpływie chorób, przemęczenia i wyczerpania na jasność myśli i sądów polityków w okresie ostatnich 100 lat. L'Etang przestudiował wiele pamiętników, sprawozdań prasowych oraz szczerzych wypowiedzi lekarzy. Zebrał szeroki wachlarz faktów medycznych na temat działań mężów stanu i przywódców wojskowych. Zdaniem autora, wydarzenia o znaczeniu krajowym i międzynarodowym, zwłaszcza w okresie kryzysów, pozostają pod przemożnym wpływem ludzi chorych i nieudolnych, których krew zawiera zbyt wiele cholesterolu, ludzi z chorymi trzustkami, powiększonymi prostatami, z kamieniami nerkowymi, ludźmi po atakach apoplektycznych, nie mówiąc już o niezbitych skutkach zabiegów chirurgicznych i farmakologicznych, stosowanych szeroko przez lekarzy, aby utrzymać tych ludzi w odpowiedniej sprawności fizycznej, gdy zwykły człowiek już dawno zrezygnowałby ze wzmożonej aktywności z powodu zbyt słabego zdrowia.

I tak na przykład premier brytyjski, Anthony Eden, miał wysoką gorączkę, gdy kryzys sueski w 1956 r. osiągnął swój punkt szczytowy, a prezydent USA, Woodrow Wilson, był po kilku zawalach, gdy walczył o poparcie przez senat amerykański dla swojej polityki zagranicznej.

Premier brytyjski, Stanley Baldwin, mówił w 1936 r., gdy armia hitlerowska wkroczyła do Nadrenii: *Je stem zbyt zmęczony i niezdolny do nowych wysiłków. Jak długo chcę być truciał na stanowisku?*

Gdy znów w lecie 1935 r. Mussolini rozpoczął podbój Abisynii, ówczesny brytyjski minister spraw zagranicznych, Samuel Hoare, miał kilka ciężkich zawałów arteryjalnych i czuł się bardzo źle. W Izbie Gmin był bliski omdlenia. W grudniu tego roku lekarze zalecili mu całkowity odpoczynek i wysłali do Szwajcarii. W drodze zatrzymał się w Paryżu, gdzie przeprowadził fatalne rozmowy z francuskim ministrem spraw zagranicznych, Lawalem. Hoare powiedział później na ten temat: *Byłem zmęczony, byłem przemęczony i straciłem jasność myśli i sądów.*

W tym oświadczeniu, jak też i w wielu innych podobnych wypadkach, mamy przykład głęboko zakorzenionego przekonania, że zmęczenie wynikające z przepracowania, stanowi dla tych ludzi dostateczne wytłumaczenie ich postępowania. Tymczasem zmęczenie może zakłócać jasność myśli i trafność sądów w taki sam sposób jak alkohol. Nie ma chyba polityka, który wysunąłby stan zatruć alkoholu jako wytłumaczenie swych błędów, ale tkwiące w naszej mentalności pozostałości etyki purytańskiej, według której nieustanna praca jest czymś godnym pochwały i podziwu, sprawiają, że przepracowanie i zmęczenie wywołują ogólne współczucie i sympatię. Oczywiście, zdążają się sytuacje wyjątkowe, ale trzeba pamiętać, że polityk zawsze powinien się starać zachować jasność myśli i prawidłowość sądów, a nie chwycić się bohaterstwa środków.

Dr L'Etang przytacza wypowiedź ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii z okresu pierwszej wojny światowej, Edwarda Grey'a, która właśnie świadczy o sile i o „bohaterstwie postawie”:

Praca niestanną, wytrwała praca łagodzi napięcie nerwowe; nie pozostawia wolnego czasu, w którym zaniepokojenie może opanować nie zajęty umysł; praca taką niewątpliwie męczy, ale właśnie zmęczenie zapewnia dostateczną ilość snu, a więc i odpoczynku. Dopóki zmęczenie nie doprowadza do skrajnego wyczerpania, może być bodźcem i zachętą.

Dla wielu mężów stanu życie jest do tego stopnia związane z odgrywaniem jakiejś ważnej roli w życiu publicznym, że samo istnienie oznacza kurczowe trzymanie się jakiegoś urzędu. Premier Attlee tak pisał o swym bliskim współpracowniku i przyjacielu — ministrze spraw zagranicznych, Ernście Bevinie:

Trzymał się kurczowo swej pracy. Lekarze często mieli nadzieję, że wyzdrowieje, ale cierpiał bardzo. Nie przypuszczam, by stan jego zdrowia wpływał ujawnianie na jasność jego umysłu, choć niektóre dzienniki próbowały to właśnie udowodnić.

Kiedy Bevin, ciężko chory na serce, musiał na miesiąc przed swą śmiercią ustąpić ze stanowiska, było to dla niego ciężkim ciosem, ponieważ — jak twierdził ktoś z jego bliskiego otoczenia — *chciał umrzeć jako*

minister spraw zagranicznych. Lekarze, którzy mają do czynienia z takim pacjentem, muszą być głęboko zaniepokojeni, że sprawy państwowe znajdują się w rękach ludzi tak bardzo chorych, ale dla lekarzy utrzymanie pacjenta przy życiu jest ważniejsze od wszystkiego innego.

Gdy prezydent Stanów Zjednoczonych, Woodrow Wilson, dostał wylewu krwi do mózgu, kiedy sparaliżowało go prawie całkowicie, jego lekarze — co jest rzeczą całkowicie zrozumiałą — uznali, że dobro pacjenta musi być przede wszystkim brane pod uwagę. Poradzili oni, aby nie ustępował ze swego stanowiska. Dr Dercum obawiał się, że zrezygnowanie z funkcji prezydenckich sprawi, że Wilson utraci chęć do życia. (Osobisty lekarz Churchilla, dr Moran, w swoim czasie stanął wobec podobnego dylematu i zajął analogiczne stanowisko).

Wilson, mimo ciężkiej choroby, nadal więc był formalnie prezydentem, ale faktycznie od października 1919 r. do marca 1921 r. funkcję prezydenta USA sprawowała samozwańcza „rada” składająca się z żony prezydenta, J. Tumulty i doktora Graysona. Prezydent Wilson został przez tę „radę” całkowicie odizolowany od świata zewnętrznego i tracił nie tylko jasność sądów, ale w ogóle zdolność myślenia.

Dr L'Etang zaznacza, że postępy poczynione w ostatnich dziesięcioleciach w medycynie jeszcze bardziej komplikują sytuację. Jako przykład przytacza wypadek premiera brytyjskiego, Harolda Macmillana. Na kilka dni przed operacją prostaty musiał on podejmować ważne decyzje polityczne. Operacja prosta wymaga jednak pewnego przygotowania w postaci podawania pacjentowi, w kilkudniowym okresie poprzedzającym operację, środków uspokajających o działaniu narkotyzującym i znieczulającym. Dla dr. L'Etang jest rzeczą jasną, że Macmillan nie mógł być wówczas w pełni władz umysłowych.

Zresztą przy obecnym stanie medycyny, przy istnieniu niezliczonych środków uśmierzających ból i preparatów bodźcowych każdy mąż stanu może bezpośrednio ze szpitala udać się na konferencję „na szczyt” i brać udział w obradach, chociaż nikt nie może być pewny, czy jest on w pełni władz umysłowych.

W większości wypadków zakłócenia w możliwościach władania umysłem oraz ograniczenie zdolności do pracy są wynikiem przyczyn „fizycznych”, a nie „psychicznych”. W tym świetle wypadek sekretarza obrony USA, Forrestala, wydaje się być wyjątkiem. Jego urojenia paranoiczne wyszły na jaw dopiero w ostatnich miesiącach sprawowania przez niego funkcji, ale z drugiej strony nie ma podstaw do stwierdzenia, by ta choroba psychiczna miała bardziej szkodliwy wpływ na jego zdolność logicznego myślenia niż fizyczne schorzenia i stany wyczerpania innych polityków i mężów stanu. Mimo wszystko jednak opinia publiczna odnosi się inaczej do wypadków chorób psychicznych przywódców politycznych, niż do wypadków ich chorób fizycznych, a zwłaszcza stanów skrajnego przemęczenia i wyczerpania, które najczęściej w ogóle nie są znane społeczeństwu.

Błędy popełniane przez przywódców politycznych mogą mieć tak samo zgubne skutki, jak błędy pilotów linii lotniczych, a właściwie skutki... znacznie bardziej zgubne. Mimo to trudno sobie wyobrazić, że będzie można kiedyś zmusić polityków — tak jak się zmusza pilotów linii lotniczych — do wcześniejszego przechodzenia na emeryturę oraz do poddawania się przymusowo stałym, regularnym badaniom lekarskim, których wyniki byłyby przekazywane komuś innemu niż osobom bezpośrednio zaangażowanym. Tacy ludzie sami tylko decydują i będą decydować o tym, kiedy są do tego stopnia wyczerpani, iż muszą zrezygnować ze swych oficjalnych funkcji. Jednakże przemęczenie i wyczerpanie, tak jak alkohol, zmniejszają wydajnie samokrytykę nastawienie jednostki i bardzo utrudniają uświadomienie sobie, że jest się u kresu swych możliwości. Każdy mąż stanu i odpowiedzialny polityk powinien jednak zwracać uwagę na takie sygnały ostrzegawcze, jak ból głowy, niestrawność lub wzmożony pociąg do alkoholu lub palenie tytoniu.

Większość działaczy politycznych ukazuje we wzmożonej formie jeden z dylematów naszej kultury — dylemat dotyczący starości. Politycy dochodzą do władzy niezmiernie rzadko w młodym wieku, rzadko w wieku średnim, a najczęściej w wieku starszym, gdy choroby i wyczerpanie są już dla nich jeśli nie regułą, to zjawiskiem powszechnym. Skutek jest taki, że wolą pracować ponad siły i prowadzić życie zbyt intensywne jak na ich wiek — aż do śmierci — niż w odpowiedniej chwili wycofać się w załże życia prywatnego i zacząć pisać swe pamiętniki...

ABATANHEL Krymski był pisarzem i wielkimi miary uczonym ukraińskim, orientalistą — językoznawcą. W styczniu br. obchodził 100 rocznicę jego urodzin. W czasopiśmie pojawiają się wiele artykułów omawiających jego dorobek naukowy i literacki.

Lwowski „Zwien” w numerze styczniowym drukuje nowo znalezione listy A. Krymskiego do W. Hnatuka. Był to okres zakazu drukowania czegokolwiek po ukraińsku na terenie Imperium Rosyjskiego, toteż A. Krymski zmuszony był drukować swoje ukraińskie utwory, głównie literackie, we Lwowie w wydawnictwach Towarzystwa Naukowego im. T. Szewczenki, którego sekretarzem był przez długie lata właśnie wybitny etnograf Włodzimierz Hnatuk. Listy te świadczą o żywym ruchu naukowym i literackim wśród Ukraińców mimo owego zakazu.

A. Kaspruk w styczniowym numerze czasopisma kijowskiego „Witczyna” przedstawia sylwetkę twórcy A. Krymskiego. „Znawca ponad 60 języków, autor ponad tysiąca prac naukowych — taka mamy przed sobą postać, A. Krymskiego — uznanego”. Był on również pisarzem i tłumaczem głównie z literatury orientalnych. Kapitałem są również jego prace dotyczące języka ukraińskiego.

W 1. numerze dwumiesięcznika językoznawczego wychodzącego w Kijowie „Mowoznawstwo” umieszczono dwa artykuły o A. Krymskim. I. Bilodid ocenia go jako tytana pracy naukowej, wspomina o jego szerokiej powiazańach z nauką światową, a także z takimi wybitnymi

talentami, filolog z zawodu, orientalista z zamiłowaniem, okazał się również wielce utalentowanym poetą i oryginalnym powieściopisarzem.

I. Matwijak ocenia dalej A. Krymskiego jako dialektologa, który wiele zrobił w początkowym okresie rozwoju pracy nad zbieraniem i opracowywaniem gwar ukraińskich. Musiał on niejednokrotnie polemizować z tzw. „hipotezą Pogodina”, według której Ukraińcy Naddnieprzańskie zamieszkiwali w okresie Rusi Kijowskiej przodkowie Rosjan, a Ukraińcy przysiali tu znacznie później z zachodu. Hipoteza ta nie wytrzymała. Krytyki ze strony wielu uczonych ukraińskich i nawet rosyjskich, posiadał fakty przemawiały na jej niekorzyść. A Krymski waleśnie przyczynił się do jej skompromitowania głównie przez swoje prace filologiczne. Brał on udział w różnych innych przedsięwzięciach ówczesnego ruchu naukowego i literackiego na Ukrainie.

Również w „Kalendarzu ukraińskim na rok 1971”, wydanym przez Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne w Warszawie, pojawił się artykuł o A. Krymskim. Społeczeństwo ukraińskie szcześnie szczył się z wybitną postacią uczonego i pisarza.

M. L.



ZAMOŚĆ: przeszłość i przyszłość

Zdzisław Konopski

O problemach związanych z odbudową Starego Miasta w Zamościu pisaliśmy już wielokrotnie. Dziś drukujemy artykuł I sekretarza KP PZPR w Zamościu, Zdzisława Konopskiego, który problem ten omawia na tle rozwoju miasta i powiatu.

przodujących województw kraju, nie mówiąc już o przodujących krajach.

Czas więc spojrzeć prawdzie w oczy. Należy podjąć decyzje zmierzające do uzyskania takiej średniej wielkości gospodarstw w powiecie, która gwarantowałaby uzyskanie optymalnych dla danych gleb efektów produkcyjnych, a samym gospodarstwom zapewniała najwyższą rentowność.

Chodzi zatem o racjonalne kontynuowanie procesów komasacji, przy przestrzeganiu zasady równego prawa indywidualnych rolników oraz kontrahenta państwowego do zagospodarowania ziemi opuszczonej, gospodarstw bez następców itp. Należy wreszcie poddać rewizji fakt istnienia niektórych barier ekonomicznych stanowiących hamulce w obrocie ziemią, a więc w powiększaniu gospodarstw chłopskich.

Z taką samą troską należałoby przeanalizować sprawy obowiązkowych dostaw i kontraktacji, nawożenia, a szczególnie traktorowo-usługowy system mechanizacji rolnictwa. Uniwersalność produkcji rolnej w ramach jednego gospodarstwa, co wydaje się być funkcją dotychczasowego systemu dostaw obowiązkowych i przymusowych kontraktacji, wyraźnie koliduje z dążeniem do specjalizacji produkcji, a tym samym z możliwością podniesienia towarowości gospodarstw chłopskich. A przecież wszystko to razem decyduje o poziomie kultury rolnej, w ostatecznym zaś rachunku o poziomie życia ludności wiejskiej.

Nieuniknionym obiektywnym następstwem słuszych i potrzebnych w zakresie rolnictwa posunięć będzie zwiększone ciśnienie na rynku pracy, a to nakazuje przygotować nowe miejsca pracy w gospodarce uspołecznionej. Jak istotny to problem, niech świadczy liczba. Według danych na dzień 1 lutego 1971 r. — liczba formalnie zarejestrowanych w urzędzie zatrudnienia wynosiła 997 osób poszukujących pracy. Jest to wielkość poważnie niższa w stosunku do aktywnych rezerw siły roboczej, które na terenie miasta i powiatu szacuje się na około 8000 osób. Liczby te ulegną dalszemu zwiększeniu, jeżeli uwzględnimy skutki postulowanych przedsięwzięć w rolnictwie, a także brak zatrudnienia dla wchodzących w wiek produkcyjny, w tym szczególnie dla absolwentów licznych zamojskich szkół średnich.

Nowe miejsca pracy mogą być uzyskane przede wszystkim przez nowe inwestycje przemysłowe, lokalizowane zarówno na terenie miasta, jak i powiatu. Procesów uprzemysłowienia nie należy jednak rozpatrywać wyłącznie w skali poszczególnych jednostek administracyjnych, albowiem procesy te mają wielostronne skutki dla całego regionu: budowa dużych zakładów i kombinatów przemysłowych nie tylko tworzy nowe miejsca pracy, ale tworzą oddziaływanie na kształtowanie się i rozwój organizmów miejskich oraz aktywizację gospodarzących terenów wiejskich (z tytułu rozwijającej się z reguły kooperacji wpływa również na wzrost produkcji i zatrudnienia w przedsiębiorstwach przemysłowych).

W ubiegłej pięcioletniej wydatkowano na rozwój przemysłu Zamojszczyzny 443 miliony złotych, z tego 2/3 przeznaczono na rozbudowę i modernizację istniejących zakładów. W wyniku takiego podziału z 2/3 całej sumy uzyskano jedynie 834 nowe stanowiska pracy, podczas gdy z pozostałej 1/3, ale ulokowanej w nowych inwestycjach, uzyskano 1033 stanowiska pracy. Jest to, niestety, powszechny — o charakterze ubocznym — rezultat unowocześniania istniejącego potencjału wytwórczego. Powoduje się tu wprawdzie szybki wzrost wydajności pracy, lecz nie przynosi to wyraźnego wzrostu zatrudnienia.

Pozostają zatem przy tezie budowy nowych zakładów przemysłowych. Powinny one opierać się na zapleczu surowcowym terenu, mogą być lokalizowane na obszarach zarówno powiatu, jak i miasta. Działają już zakłady przetwórstwa rolno-spożywczego oraz przemysłu drzewnego, ale w stosunku do bogatej bazy surowcowej, która zresztą będzie się intensywnie rozwijała, ich liczba i profil są niewspółmierne. Stąd konkretne postulaty na rzecz uzasadnionej rozbudowy chłodni składowej, Zakładów Jajczarsko-Drobniarskich i Zakładów Mięsnych w Zamościu oraz budowy przetwórczo-owocowo-warzywnej, której brak można zaliczyć do paradokso-ekonomicznych. Niektóre decyzje zostały już podjęte, inne czekają na podjęcie,

a wszystko to jest bardzo ważne w aktualnej sytuacji ekonomicznej kraju, wymagającej radykalnej intensyfikacji przemysłu rolno-spożywczego.

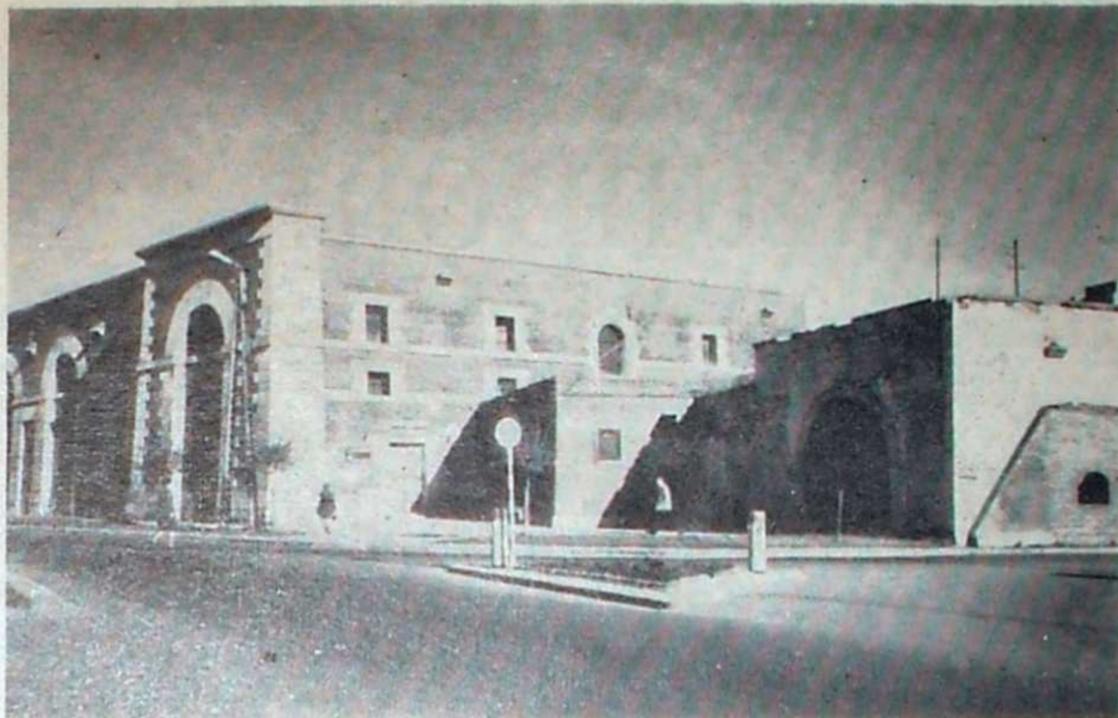
Rzecz prosta, mowa tu była o małych zakładach przemysłowych, które w żadnym wypadku nie zdołają radykalnie zlikwidować rosnących napięć na miejscowym rynku pracy i w sposób istotny wpłynąć na przeobrażenia struktury społeczno-gospodarczej. Miasto i powiat zamojski, a z nim cały region, oczekuje na decyzje lokalizacyjne o charakterze zasadniczym, co pozwoliłoby na spełnienie nadziei, jakie miejscowe społeczeństwo związało z projektowaną a nie zrealizowaną budową zakładów elektroizolacyjnych. Chodzi tu też

Krótko mówiąc — należałoby jednoznacznie i ostatecznie wyznaczyć kształt i model zespołu staromiejskiego w zgodzie z najnowszymi tendencjami, metodami i osiągnięciami sztuki konserwatorskiej, a z drugiej strony pomyśleć nad bezbłędnym włączeniem go w rytm współczesnego życia oraz integracją z całym organizmem miasta Zamościa. Po ustaleniu tej podstawowej i najtrudniejszej rzeczy łatwiej nam będzie określić zakres prac, konieczne siły i środki organizacyjne, techniczno-materiałowe, kadrowe, a dalej etapowanie, podział zadań i odpowiedzialności.

Chyba nie w tym rzecz, aby to wszystko wykonało jedno pokole-

z rad narodowych zdecydowanie

dłużej. W tej dziedzinie Zamojszczyzna ma zapewne jedno z ostatnich miejsc w województwie. Aby ten stan rozładować, należałoby w bieżącym pięcioletniu zbudować około 2000 mieszkań. Zresztą dotychczasowy system realizacji osiedli mieszkaniowych, który w pogoni za osiągnięciem jak najwyższych wskaźników przyrostu łączył zaniebdywał realizację podstawowych obiektów towarzyszących, wymaga obecnie zdecydowanie większych nakładów na budownictwo socjalno-usługowe, zarówno dla wyrównania powstałych dysproporcji, jak i dla prawidłowego wyposażenia nowo realizowanych osiedli. Chodzi tu przede wszystkim o bu-



Zamość. Nadszaniec i stara Brama Lwowska.

Fot. J. Urban

o wprowadzenie dynamicznego czynnika miastotwórczego, przywracającego należną rangę Zamościowi, wywołującego inicjatywę społeczną, urzeczywistniającego nadzieje i marzenia formalnie sprzeczowane w opracowanym planie regionalnym.

Nowa polityka w tym zakresie pozwala wnioskować, że zasady równomiernego rozwoju wszystkich miast powiatowych (bez względu na skutki ekonomiczne) zostały wreszcie zaniechane na rzecz intensyfikacji rozwoju wyselekcjonowanych ośrodków miejskich, do których było i jest nadal zaliczane miasto Zamość.

Skoro w naszych warunkach nie wynaleziono dotychczas równego przemysłowi dynamicznego czynnika miastotwórczego, tylko z nim wiązać można nadzieje realizacji wielu pilnych inwestycji towarzyszących o charakterze ogólnomiejskim. A na przykład brak budownictwa mieszkaniowo-usługowego na szerszą skalę nie pozwala myśleć o szybkiej i skutecznej sanacji oraz modernizacji Starego Miasta, jego przystosowaniu do warunków nowoczesnego życia oraz stworzeniu bazy dla rozwoju turystyki.

Należy otwarcie powiedzieć, że mimo głośniejszych, a miłych uszom deklaracji, iż renowacja miasta Zamościa jako wartości ogólnonarodowej jest zadaniem nie tylko lokalnym, ale — bez przesady — krajowym, radykalnych skutków takiego postawienia sprawy — jak dotąd — niestety nie widać. Kompleksowość przedsięwzięcia pozostaje w dalszym ciągu w sferze dyskusji i marzeń. A czas ucieka, znacząc swoją drogę zniszczeniem i niszczeniem obiektów mieszkalnych i urządzeń komunalnych. Niektórych z tych obiektów nie uda się już uratować, stan techniczny pozostałych wymaga w większości przypadków natychmiastowej ingerencji konserwatorsko-budowlanej. Szukając logicznego wytłumaczenia dla braku decyzji o kompleksowej renowacji tego wspaniałego pomnika kultury narodowej, trzeba pamiętać, iż zastanawiano się nawet, czy w ogóle warto go ratować. Chyba trudno jednak sobie wyobrazić takiego odważnego, który by decydował o skazaniu na śmierć Starego Miasta.

nie, lecz by środki skierowane na ten cel obecnie — być może nawet skromne w stosunku do potrzeb — były wydatkowane prawidłowo i w sposób podporządkowany z góry wiadomemu przyszłemu kształtowi zabytkowego zespołu. W tym kierunku poczyniono już konkretne przedsięwzięcia. W ostatnim czasie opracowany został program finansowy kompleksowej rewaloryzacji Starego Miasta w myśl wytycznych i zaleceń Prezydium WRN w Lublinie. W Zamościu powołano Zakład P.P. Pracownie Konserwacji Zabytków, w którego skład wchodzi postulowana od lat Pracownia Projektowa. Podjęto prace na rzecz rozbudowy potencjału przerobowego przedsiębiorstw wykonawczych. Wszystko to aktualnie dzieje się przy czynnej pomocy Prezydium WRN.

Z całą pewnością jednak problemu tego w żadnym wypadku nie rozwiążą same władze lokalne i wojewódzkie. Trzeba stworzyć i zaangażować cały arsenal środków techniczno-organizacyjnych. W szczególności polegałoby to m. in. na następujących przedsięwzięciach:

— podjęciu stosownej uchwały przez władze wojewódzkie, nadającej problemowi renowacji należną mu rangę, a także określającej między innymi zakres, koszt, etapowanie oraz sposób finansowania renowacji, w tym też zadania i obowiązki poszczególnych współpartnerów;

— zabezpieczeniu nakładów na budowę około 500 mieszkań zastępczych, przeznaczonych na przekwaterowanie stałe, co uzasadnione jest koniecznością stworzenia nowoczesnych warunków życia w zabytkowym zespole;

— powołaniu jednostki koordynującej całokształt prac w zakresie planowania, programowania, finansowania i realizacji.

Kolejny ważny problem to budownictwo socjalno-usługowe. Na mieszkaniach z budownictwa rad narodowych oczekuje 1400 rodzin, a z budownictwa spółdzielczego 2000 członków i kandydatów. Przyjmując dotychczasowy średnioroczny przyrost łąz, okres wyczekiwania na mieszkanie spółdzielcze wynosiłby 10–12 lat, a na mieszkanie

dowę łobków i przedszkoli, pawilonów handlowych i gastronomicznych. W tym kierunku poczynione zostały kroki w postaci wprowadzenia do planu bieżącego roku budowy łobka i przedszkola na osiedlu Planty.

Są to główne problemy, którymi trzeba zająć się skutecznie w bieżącym planie pięcioletnim. Obok nich jest cała sterta innych, wprawdzie o mniejszym ciężarze gatunkowym i innym profilu, lecz nie mniej ważnych dla społeczeństwa Zamojszczyzny.

Zbliża się rocznica 400-lecia założenia miasta Zamościa. Może ona pobudzić nie tylko do spojrzenia wstecz, lecz również do rozmyślań o przyszłości. Zamość będzie zapewne prężnym ośrodkiem gospodarczym i kulturalno-oświatowym z rozwiniętymi funkcjami regionalnymi, będzie ważnym centrum przemysłowym i handlowo-usługowym. Należy sądzić, że w historycznych murach Akademii Zamojskiej, ongiś drugiej wyższej uczelni w kraju, znajdzie się współczesna wyższa uczelnia o profilu kształcenia wynikającym z potrzeb regionu.

Zamojszczyzna stanie się przedmiotem powszechnego zainteresowania turystyki krajowej i zagranicznej. W odrestaurowanych murach miasta znajdują się dobrze przygotowane i wyposażone obiekty hotelarskie, gastronomiczne, sklepy pamiątkarskie i rzemiosła artystyczne, muzea, domy pracy twórczej. W ramach kompleksowej rewaloryzacji Staremu Miastu przywrócone zostaną jego renesansowe kształty, być może Zamojski Pałac powróci do pierwotnej formy, a Rynek Wielki, starannie i z plecytem zrekonstruowany, powita turystów pełnią swojej urody.

Skoro turystyka, to także Roztoczę. Jako kontynuacja rozpoczętych już w tym kierunku starań powstana w Krasnobrodzie i Zwierzynie wyspecjalizowane ośrodki turystyczne, dysponujące bazą materiałną w postaci rozwiniętej sieci campingów, zagospodarowanych terenów rekreacyjno-wypoczynkowych, placówek handlowych i gastronomicznych, a także rozbudowaną siecią dróg.

I jeśli nawet są to marzenia, wynikają one z realów i możliwości życia społecznego Zamojszczyzny.

POD koniec ubiegłego i na początku bieżącego roku dwukrotnie publikowaliśmy artykuły dotyczące bombardowania Frampola we wrześniu 1939 r. przez hitlerowskie lotnictwo. Kontrowersyjność tych publikacji skłoniła nas do zasięgnięcia opinii u bezpośrednio zainteresowanych historykami już wydarzeniami, czyli u mieszkańców osady. W środku zimy odwiedziliśmy więc Frampol — w towarzystwie przedstawicieli wojewódzkiego oddziału „Ruchu” i wojewódzkiej rady klubów kultury, którzy przyznali dyplom dla miejscowego klubu „Ruchu” za zajęcie II miejsca w konkursie na najlepszą placówkę tego typu na Lubelszczyźnie.

Klub mieści się w parterowej sali Gromadzkiego Ośrodka Kultury. Kilkunastu młodych ludzi od-

we Frampolu był silny punkt oporu, prowadzono tajne nauczanie na poziomie szkoły średniej oraz szkołę podchorążych, w której wykładali oficerowie Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich. Nikt o tym nie wie, nie ma o tym nawet wzmianki w wydawnictwach specjalistycznych. Ostatnio na zebraniu koła ZBoWiD poruszyliśmy tę sprawę, powołując ostatecznie komisję historyczną w celu zebrania dokumentacji. Żyją jeszcze ludzie, działający w tamtych czasach, ale jest ich coraz mniej. Na pewno sporo ciekawych informacji mogłoby udzielić żyjący nauczyciele, prowadzący wówczas tajne nauczanie, tacy jak Adamczyk z Bilgoraja, Kuna z Zamościa czy Karczmarszyk z Frampola. Przypomnę jeszcze, że w 1943 roku pacyfikacja niemiecka całkowicie wyłudniła osadę.

dwa razy zwrócić uwagę za to łamanie!

— Jakże łamanie? Jakże łamanie? No, jakie? — chłopak zakotłował się lekko, przygarbił. Ciepło zrobiło się w sali frampolskiego klubu „Ruchu”, może nawet za gorąco, więc kierowniczką Gromadzkiego Ośrodka Kultury steruje na spokojniejsze wody.

— Mówmy o sprawach poważniejszych... A pana co, poza kartami, interesuje? — zwraca się do krępego blondyna.

— Piwo! A w ogóle to w wojsku lepiej było, ale nie mogę powiedzieć, bo to tajemnica wojskowa.

Niekawo kierować Ośrodkiem Kultury we Frampolu, Osada liczy dziś ok. 1600 mieszkańców, wśród których przeważają ludzie starsi. Młodzież wyemigrowała w poszukiwaniu pracy, co szczęśliw- szym udało dostać się na studia, spora grupa dojeżdża do pracy w Bilgoraju i Janowie, po powrocie nie mając ani czasu, ani chęci na aktywny udział w działalności kulturalnej, prowadzonej przez GOK, czyli przez jego kierowniczkę, któ-

We Frampolu o Frampolu

daje się towarzyskiej konwersacji. Wszyscy w płaszczach, bo zimno. Na ekranie telewizora kolejna księga „Pana Tadeusza” — w znakomitej obsadzie, co jakoś nikogo z obecnych nie cieszy.

Kronikę klubu wypełnia program telewizyjny, rozpisywany na dni i godziny, dość często urozmaicany takimi pozycjami, jak „zajęcia ciche”, „cicha lektura i słuchanie płyt”, „szachy”, „brydż”. Szczególnie przecież zainteresowanie wzbudza „Recital: Złudzenia a rzeczywistość (z marksistowskiej teorii poznania)” oraz zanotowany temat odczytu „Literatura polska w walce o pokój”. Załujemy, że nazwiska prelegentów są nieczytelne... Dla sprawiedliwości: w kronice odnotowano również koncert filharmonii lubelskiej.

W sali kinowej na piętrze skończył się właśnie film, więc już kilkadziesiąt osób zgromadziło się w klubie: młodzież i kilku dorosłych. Nieobecni: przedstawiciele władz gromadzkiej i społecznej rady klubu, który za chwilę ma być uhonorowany dyplomem. Dowiadujemy się, że wczoraj była we Frampolu zabawa taneczna.

Po wręczeniu dyplomu krótkie milczenie, poprzedzające dyskusję. Pierwszy zabiera głos lekarz z miejscowego ośrodka zdrowia; jego relację, związaną z bombardowaniem Frampola, polecamy uwadze historyków lubelskich.

— W trzydziestym dziewiątym roku miałem szesnaście lat i pamiętam, że pierwsze bomby spadły na Frampol już 8 września, właściwie na okoliczne pola, choć nalot niemiecki nacielowany był głównie na Janów Lubelski. W tym dniu w Janowie był odpust, bomby spadły około godziny drugiej po południu, kiedy ludzie wychodzili z kościoła po sumie; dużo ludzi wtedy zginęło. A 13 września, to prawda, we Frampolu były oddziały Armii Lublin... W czasie okupacji

— Frampol był cztery razy bombardowany, pamiętam, że ludzie w piwnicach mieszkali — wtrąca sąsiadka lekarza, kobieta około czterdziestki. — Nędzna była, bosy się chodziło, albo w drewniakach. A dzisiejsza młodzież śmieje się z tego — kończy dobitnie, odwracając się nieco w kierunku adresatów oskarżenia.

— Za 30 lat i my będziemy wspominali — jakiś dziewczęcy głos kontruje z chichotem. Młodzieżowa część sali rozkołysała się wesołości. — Czy to zresztą nasza wina — w poważniejszej tonacji kontynuuje dziewczyna — że nie znamy wojny?

Przełamało się coś w nastroju sali, temat wojenny już nie powraca, sprawy rodziców są ich tylko sprawami, młode pokolenie ma przed sobą inne problemy.

— Brydż, wieczorami brydż, ale grać nie dają, bo przychodzą — krępy blondyn wskazuje chyba na nieliczną grupę starszych — oglądać telewizję.

— Zajęcia w klubie odbywają się według planu, zawsze grać nie możecie — wyjaśnia kierowniczką.

— Kart nie ma poza tym.

— Członkowie sekcji brydża sportowego opodatkowali się po pięć złotych, właśnie na zakup kart.

— Trzeba mieć te pięć złotych. W drzwiach staje wysoki chłopak i z miejsca przystępuje do frontalnego ataku na wyróżniony przed chwilą klub „Ruch”.

— Gospodyni przychodził dwie godziny później niż powinna, a jak film przedłużyła się do godziny pół do jedenastej, to wylacza telewizor.

— Filmy można oglądać do końca, po co to gadanie — ostro ripostuje szczupły mężczyzna. — Dlaczego nikt z was nie zwrócił uwagi, że są tacy, co niszczą drzwi, wyrwywają wyłączniki. Panu też

rej pomagają społeczni instruktorzy. Zresztą cała działalność Ośrodka opiera się na inicjatywie społecznej, bo pieniędzy brakuje nawet na opał. Jeśli w takich warunkach udało się kierowniczkę zorganizować amatorskie zespoły: teatralny, muzyczny i chóralki, należy to uznać za znaczące osiągnięcie. Jeśli zaś nieliczowa spółdzielnia artystyczna „Pekój” zafundowała Ośrodkowi pianino „za 20 tysięcy złotych”, to nie należy wyłączać z tego faktu radosnego wniosku, że frampolski GOK jest w centrum żywej uwagi tutejszych instytucji i władz. Kierownicy ośrodków kultury na Lubelszczyźnie, którzy rzeczywiście chcą rozwijać kulturę w środowisku małomiasteczkowym i wiejskim, którzy swoją dobrą wolą potrafiłi przemienić w konkretne fakty, niewątpliwie studiują Machiavellego.

We Frampolu jest sporo młodzieży ze świadectwem maturalnym w zanadru, która nie dostała się do wyższych uczelni, a tu, w rodzinnej miejscowości, nie ma szans na uzyskanie pracy. Czeka ją więc ci młodzi — większość to dziewczęta — na kolejną okazję opuszczenia osady, jaką co roku stwarzają egzaminy wstępne do szkół wyższych. Nie czekają jednak bezczynnie. To oni właśnie tworzą wspomniane zespoły amatorskie, to oni wykazują minimum choćby chęć społecznego uczestnictwa. Wyróżniają się zresztą ubiorem także, sposobem bycia, stylem rozgryczenia nawet, które nie przeszkadza w zobojętnieniu na wszystko i wazystkich, ożywiane co najwyżej partią brydża, czy setką czystej.

Przyjechaliśmy do Frampola, aby zrekonstruować wydarzenia sprzed lat ponad trzydziestu, przynajmniej zachęcić do ich rekonstrukcji. Zaledwie dwie czy trzy



Lucjan Demidowski, autor reproduowanego zdjęcia „Taki sobie muzyk zmiera”, został pod koniec marca przyjęty do Związku Polskich Artystów Fotografików, czego może byśmy nie odnotowali, gdyby nie fakt, że ZPAF skupia zaledwie 300 członków, a Demidowski ma lat 25. Gratulując artyście tego wyróżnienia, nie jesteśmy w stanie powstrzymać się przed przypomnieniem naszej życzliwej uwagi, jaką otaczaliśmy młodego twórcę, broniąc go m. in. przed pomówieniami o skłonności do pornografii w fotografii, które to zarzuty stawiano w tonacji wysokiej i oficjalnej. Zarazem informujemy, że to właśnie akty fotograficzne z gorszącej poniekąd wystawy Demidowskiego pn. „Obnażenie” czynnej w ubiegłym roku w MDK w Lublinie, utarowały mu drogę do Związku. Lucjan Demidowski uczestniczył dotąd w 16 wystawach międzynarodowych i w ok. 50 krajowych. Najchętniej i najbardziej odpowiedzialnie porusza się w rejonach fotografii subiektywnej, która nie wyczerpuje przecież ani możliwości, ani zainteresowań artysty.

IJK

osoby, —uprawnione do tego ze względów biograficznych, odpowiedziały na propozycję redakcji swoją obecnością w klubie „Ruchu”. Wkrótce zresztą i one niejako zniknęły w tłumie młodzieży, dla której historia okazała się tylko historią, przydatną być może przy takich czy innych egzaminach szkolnych, lecz w życiu?

W tej chwili, najbardziej codziennym, indywidualnym, nie kategorie historyczne rysują hierarchie spraw najważniejszych, o których warto rozprawić, o które warto zabiegać. To oczywiście i zrozumiałe. Drażni przecież że wielu z tych młodych nie chce, nie ma zamiaru o nie zabiegać, trudzić się, starać. Oczekują na gotowe. Pytamy więc o kolo ZMW.

— Kilka razy było zakładane, lecz zawsze się rozpadło — odpowiada jedną z maturzystek, wysoka, w płaszczu maxi. — Ostatnio po wyjeździe szefowej na studia; jej zastępcą zastąpił Zresztą z naszą młodzieżą nie można zrobić.

— A każdy boi się powiedzieć coś złego na ZMW, bo zaraz zameldują — dopowiada amator piwa, nie precyzując jednak, gdzie zameldują; znamienne jednak to „oni”.

— Ta nasza młodzież to w ogóle „dobra”. W klubie nie ma nowych płyt, najczęściej przynosimy własne, więc wprowadzono opłatę za wstęp na wieczorki taneczne, pięć złotych od osoby, żeby zebrać pieniądze na zakup płyt z nagra- niami modnych zespołów. Kilka

osób płaciło, a resztą się z nich śmiała...

— Albo filmy — wtrąca ktoś z sali. — Słabe i stare, sprzed dziesięciu albo i więcej lat. Latem, kiedy młodzież przyjeżdża ze szkół na wakacje, to dają lepsze, ale zimą zupełnie „dno”.

— To prawda — dopowiada kierowniczką. — Wojewódzki Zarząd Kin, mimo że nie płaci czynszu za lokal, chętnie zamknąłby kino, bo dochodów nie daje. Jak ma dawać przy takim repertuarze?!

Kilka godzin trwała ta rozmowa, nie pozbawiona ostrych spłec. Obracała się w kręgu spraw małych, ale dla frampolskiej młodzieży ważnych, bo określających treść jej życia — w osadzie o dramatycznych często tradycjach, które odchodzą jednak w zapomnienie wraz z wymieraniem starszej generacji. Ujawniła przy tym zjawiska o zasięgu przekraczającym granice Frampola, charakterystyczne dla wielu miasteczek i osad Lubelszczyzny, coraz liczniej opuszczanych przez młodych. Ten niekorzystny społecznie ruch migracyjny trzeba zahamować. Jak? Sądzimy, że m. in. przez stworzenie lepszych warunków działania dla takich placówek, jak Gromadzki Ośrodek Kultury we Frampolu. Ambicje, i aspiracje kulturalne młodych muszą znajdować choćby niewielką, ale realną płaszczyznę realizacji, muszą też być umiejętnie i konsekwentnie rozbudzane.

Ireneusz J. Kamiński

Jan Bolesław Ozóg

Spod kościoła

Wieża pastuchom błyskała
jak czapka zielona z sitowia.
Stąd krokiem ślimaka szła w wieś Boża chwala.

Popad murem uschła zeszlaczona mięta
i jak psy wchały ją nosami paków
zaledwie od ziemi adrasła jesiony.

Potem mi po rynnach pod wieczorną zorzę
tłukły się na jajach i pogańskie wrony.

Rosła wań niebawem fiołków z młodej trawy
wciąż po pełne szpar i zamków drzwi od kruchty —
i spod gumna słycać była ich chrapanie.

I gonił się znowu po płocie Hanila.
Opadając z nieba żółta pianą chmury
z trudem się wieszala u okien śręta,
z prągu się dźwignęły porqbane tramy
po cerkwi i czarcie —

i serce tętniło
najmłodszego Boga,
wbite na zielony gwóździ frontowej bramy.

Kain

Widziałem los.
Na pewno widzisz niebo brata. Hakiem otwierane.
I widzisz krew, żółć z ręki. Powrót bezsensowny pod pierś
dziękij wiśni.

Widzisz i od patrzenia w krew i śmierć cię oczy bolą.

Niemy od widoku więc dobijasz
i Abel przed bramami raju czeka
i staje znowu pod jablonią,
spod której ojca wypędzili.

Na święto przebłagania
składasz oliwy
ze zbrodni własnych i rozpusty, i okrucieństw.
lecz Boga hakiem nie dosięgniesz.

Ach, uczysz się w rozpaczcy
całej ciemności płachty ognia.
I tylko została czekanie. Czekanie!
Słuchanie ciszy w pobliżu rozkwitłych akacji.

Czekanie cierpliwe. Ta chwila.
Pod hakiem. I Boga nie widać.
To widzieć los.
To żyć. To Boga nie móc dopaść. Boga krzywdy i wygnania!
i Śmierci!

Tajemnica

W ogrodzie
od rana kwitnie białe
ostatnia, ocalona mi jak ręka, śliwa.

To jakby czyjaś dusza,
może pierwszy raz szczęśliwa,
bez bólu opuściła ciało
przez płoty lecąc w boże światło wiekiuste

Pień ręce wznosił,
oddycha lekko,
a jego śmiech w zielonej trawie się zabielił.

Ale nie wierzę białej śliwie.
Z wiatrem i kurzem oto z świata
wieci mi niesie
roztrząskany wóz
i słyżę
kruka — adwentystę:

Lewiatany poprzez niebo płyną znowu w twoją stronę.
Albatrosy i pingwiny dłażbią w szyby twoich okien.
Meteory i Gomory pają wody twojej rzeki.

Pomyślane, wyważone, uzgodnione.

Kanonicy pisma święte kładą z chlebem na okręty.
Historycy biblioteki deponują na okręty.
Astronaucci księżycowy pył zsykali na okręty.

A okręty stoją rżdem na lodowcach Ruwenzori.

Co począć by ołśnić nowością

Barbara Parobczak

WYDAJE się, że dyskusje o klubach i domach kultury nigdy się nie skończą, zawsze bowiem jakiś młody gniewny zacznie wiek umysłowy dojrzewania i po obejrzeniu pięciu klubów i trzech domów kultury stwierdzi, że nikt dotąd nie zauważył pewnych spraw, nikt o nich nie napisał (przynajmniej on nie czytał) jest więc szansa zabytnieć nowością spojrzenia i wnikiwością oceny. Jest taka sama możliwość, że człowiek ten ogłosi swoje votum separatim w lutym roku 1971 lub w kwietniu 1975, czy zgola w końcu następnego 25-lecia. Nie byłaby to sprawa problematyczna ani godna wszelakich dysput. Ponieważ jednak przez 20 prawie lat niektórzy uparci działacze starali się, by domy kultury i placówki k.o. zdobyły tak konieczną dla ich rozwoju autonomię, by miały swój lokal, swoje pieniądze i swoją kadrę, by wypracowały wybrane metody działania i starania ich zostały wreszcie uwieńczone sukcesem, żal im trochę, jeśli niekiedy pół żartem — pół serio próbuje się to zmienić na lepsze. Rozumiem, że każdy z nas, w obliczu określonej sytuacji stawia sobie pytania, rozumiem, że próbuje na nie znaleźć niejednoznacznie odpowiedź, nie umiem jednak wytłumaczyć ani sobie ani innym, po co stawia się naiwne pytania, tyśiącom, skoro za tymi pytaniami nie kryje się pragnienie odpowiedzi. Czy kluby i kina wiejskie są potrzebne, czy nie, czy działalność instrukcyjno-metodyczna jest, czy jej nie ma, czy metody są dobre czy złe, czy instruktorzy domów kultury pracują, czy nie. Każdy spotkany przechodzień może mieć swoje pytania pod adresem twórców i współtwórców polskiej kultury a sumą tych pytań będzie: DLACZEGO, PO CO, JAK? Dlaczego „Kultura i Życie” (dodatek do Standardu Ludu) od dawna już zamieszcza materiały nie mające nic wspólnego ani z kulturą ani z życiem? Po co przywiązujemy wagę do drobniaków przekonując siebie o jednostkowych racjach, gdy niebagatelne problemy nie są nawet zauważane (może celowo)?

Jest w województwie lubelskim 5300 placówek kulturalnych, w tym 363 kluby i domy kultury, 311 ośrodków przyuczelnianych, 494 świetlice zakładowe, 433 biblioteki publiczne, 2627 punktów bibliotecznych i 22 muzea. Na te liczne placówki przypada 1673 telewizory, 499 projektorów filmowych, 316 rzutników i epidiaskopów, 48 kamer filmowych, 656 magnetofonów. Ogółem w WDK, PDK i GOK pełnozatrudnionych pracowników merytorycznych jest 197, w tym 18 z rocznym stażem pracy, 78 osób od druku do pięciu lat, i 101 osób powyżej pięciu lat. Do kadry wykwalifikowanej i względnie dobrze przygotowanej do realizacji swoich obowiązków zaliczyć można 69 osób. Budżet na działalność k.o. w województwie lubelskim w roku 1970 wyniósł 27 mln 332 tys. złotych, w tym na powiatowe, wojewódzkie i gromadzkie ośrodki kultury przypada suma 13 mln 506 tys. złotych. Jest w województwie lubelskim 2169 placówek wiejskich, które mają do swojej dyspozycji 2 mln 749 tys. złotych. Dla porównania województwo poznańskie ma 1163 placówek wiejskich i budżet na nie przeznaczony wynosi 5 mln 83 tys. złotych.

Wnioski, jeśli komuś sprawia trudność myślenie, pomogę wyciągnąć. W roku 1969 w klubach „Ruch” i „Rolnika” zorganizowano 2191 imprez, powiatowe domy kultury udzieliły w sumie 6673 konsultacje i porady, przeszkoili na regularnych seminariach specjalistycznych 3763 osoby, opracowały 67 nowych materiałów metodycznych, przygotowały 542 imprezy metodyczne, zakupiły 570 pozycji repertuarowych. Poziom kadry zatrudnionej w powiatowych domach kultury i ośrodkach kultury wzrósł w porównaniu z rokiem 1967 o 200 proc. W roku 1967 bowiem na zatrudnionych tam 133 osoby 17 było z wykształceniem wyższym, 79 ze średnim. W 1970 na zatrudnionych 197 z wyższym wykształceniem było 41 osób, z niepełnym wyższym 9, średnim 115. To nasze województwo wyróżnia się w kraju ceną, estetycznością i przystosowanymi do możliwości środowisk wydawnictwami repertuarowymi i metodycznymi, liczbą zespołów amatorskiego ruchu artystycznego (1232), zrzeszających 24482 członków, stabilnością kadr, największą w kraju liczbą uniwersytetów powiatowych i innymi cennymi inicjatywami.

Faktem jest również, że jest to województwo o złych tradycjach klerykalnej obyczajowości, oddzielniczej niechęci do nowości i zmian, paradoksalnych konsekwencjach awansu społecznego, niewielkim stopniu świadomości społecznej i politycznej. Trzeba widzieć ten

konglomerat zjawisk i faktów i z niego wyciągać wnioski na przyszłość. Rady dobrego wujka i niegroźnego protektora już nie wystarczą. Moglibyśmy sobie nawzajem wskazać wiele błędów, nic by jednak z tego pożytecznego nie wynikło. Może rozbudziłyby się, w co wątpię, czyjaś świadomość zła, może czyjaś usłonna odpowiedzialność. Głaszczemy się do siebie, nie do siebie. W ten sposób Robinson Krusoe i Antygona to znakomite przedstawienia, operetka lubelska jest najlepszą w kraju, biblioteki działają operatywnie i wszechstronnie, prasa jest kontrowersyjna i porusza istotne problemy lubelszczyzny, zabytki są w idealnym stanie — tylko te potworne domy kultury i kluby ciągle kuleją narażając nasz budżet państwowy na ogromne straty.

A domy kultury i kluby ledwie co przestały być spółdzielniami wielobranżowymi i zakładami usługowymi i już zaczyna się to nie podobać. W klubie piją wódkę, w domu kultury herbatę... A co piją gdzie indziej? Pewnie koniak. Uważam, że proces kulturotwórczy w województwie lubelskim nie może mieścić się w kategoriach „dobre” — „długo”, „wystarczająco” — „niewystarczająco”. Jedynymi słusznymi kryteriami oceny są kryteria kierunków i sposobów. W którą stronę idziemy i jak tam dojść?

Żeby budować, czyli żeby być konstruktywnym, trzeba wiedzieć, na czym, z czego, jak. Niektóre rzeczy wiemy, o innych chętnie dowiedzielibyśmy się. Na przykład: jak długo partnerzy podpisują porozumienie w sprawie klubów będą jeszcze kibicami tej akcji? Kiedy rady narodowe różnych szczebli rozumieją, że to na nich spoczywa obowiązek utrzymania placówek k.o. i profilowania ich działalności, dokąd organizacje młodzieżowe będą występowały w roli patronów, a nie współtwórców, ile czasu upłynie, nim kierownicy, dyrektorzy, prezesi, sekretarze, instruktorzy zrozumieją, że kultura to nie przede wszystkim zespół pieśni i tańca, big-bit, akademie, orkiestra dęta i drobne usługi w postaci: namaluje, zaśpiewa, zatańczy, powie wierszyk. Przez wiele lat właśnie to robimy i jako wszyscy są niezadowoleni. Łatwiej na pewno zauważyć, że w miejscowości N. klub jest zamknięty na żelazną kłódkę, lub że dom kultury w K. nie ma zespołu pieśni i tańca, niż stwierdzić, że co setny mieszkaniec wsi lubelskiej używa szczołeczki do zębów, a na zakup książek w powiecie lubartowskim i lukowskim przeznaczają się od wielu lat zero złotych. Jeden z kierowników powiatowych domów kultury w województwie lubelskim twierdzi, że jeśli obsłuży należałyby wszystkie akademie w powiecie, wykona wszystkie zamówienia na dekoracje i hasła oraz napisze kilkudziesięciostrońnicowe sprawozdanie z pracy może się uważać za najlepiej pracującego człowieka w powiecie.

Łatwiej jest więc napisać o anonimowym winowajcy za zły stan placówek k.o. i poziom poradnictwa, niż wskazać niedomogi organizacyjne, komórki odpowiedzialnej za profil kultury w województwie. Skoro nie ma jednej koncepcji upowszechniania na przykład wiedzy o sztuce, zdarza się, że jest ich tyle, ilu upowszechniających. A że nikt nie chce być ani głupszy, ani gorzej od drugiego, mamy w Polsce kilkanaście konkursów recytatorskich, kilkanaście identycznych festiwali, na których produkują się te same zespoły, kilkadziesiąt takich samych instytucji, które robią to samo, tylko odrobnie gorzej. W samym Lublinie trudno byłoby znaleźć instytucję, która nie para się działalnością k.o. i czasami z ogromnym zdziwieniem dowiaduje się, że jest Wojewódzki i Miejski Dom Kultury. Dzieki temu właśnie ta sama impreza wielokrotnie się niebyswałe w sprawozdaniach zainteresowanych stron. Z jaką przyjemnością zastanawiamy się, czy domy kultury mają pomysły nowych imprez, czy nie. A jak niechętnie stawiamy sobie pytania, czy zrobiliśmy wszystko, by tymże domom kultury zapewnić działalność ciągłą, konsekwentną, planową.

Nie wykluczam dyskusji na temat spraw jednostkowych w kulturze: brudny klub, zły scenariusz itp. Namawiam jednak do solidności ocen i wnikliwej spostrzeżeń. Dyskusja o profilu kultury w województwie lubelskim i zadaniach na najbliższe lata jest potrzebna. Musi jednak posiadać cechy rzeczowości argumentów, konkretności zadań, priorytetu potrzeb, określonej odpowiedzialności za realizację, sposobów rozwiązań. Dotyczy to wszystkich kierunków rozwoju kultury i wszystkich jej elementów. Domy kultury, kluby i świetlice to jedne z wielu tych elementów. Cieszymy się z roli, którą nam się nieustannie przypisuje, ale nie czujemy się jej zbyt godni.

Zapraszamy do współpracy.

Henryk Makarski

oto święty potyka się w błocie
starość przyszła popiołem przydymnym
gorzkim bólem w tchawicy i trochę
dzieci śmiechem nieodgadnionym *

koniec świata nie przychodzi rychło
archanioły w tchawicy jeszcze nie grzmia
a tu ziemia ciemna jakże blisko
jasne niebo jakże daleko

moja głowa jest najmądrzejszym niebem
błyskawicą oczu grzmi i słowem
do mojej głowy modlą się codziennie
wznosząc do niej zaorane pole dłońi mglich
oto łączność świata —
niebo w ziemię zaoraną spada

czym jest głowa — kulochwytem ląku
ciepłym piachem o zapachu strusim
albo liną ponad błota ciemność
i nabożem wystrzelonym w ludzi

coż więc robić by nie utopiono
jako łepe koty nas w bajorze

Lublin

W obronie sublokatora

Dokończenie ze str. 1

dowolenie z tego i owego, zle humory historycznej i rozgrymaszonej gospodyni terroryzującej sublokatorów krzykiem. Dziewczyna w wynajętym pokoju nie może zamknąć na noc drzwi na klucz. Ograniczenie zostaje prawo do kąpieli i prania, do gorącej herbaty dwa razy dziennie, do odwiedzin. Księgowa nie wytrzymuje, odchodzi.

Pokój nr 2 — dwaj młodzi mężczyźni. Nie wolno zbyt często prasować spodni. Nie wolno często prać koszul. Nie wolno mieć żelazka. Nie wolno samodzielnie gotować wody na herbatę, bo wrzątek trzeba chodzić na dół do gospodyni, która nie zawsze chce wrzątek mieć. Wizyty kobiet zabronione. Gospodyni gra w karty, odmawiać nie wolno, odmowa pogorszy stosunki. Gospodyni nie lubi przegrywać. Podczas gry w tyśiące uderza wyrywającego w twarz. Wyjście? Sprawa sądowa, wyprowadzka lub akceptowanie postępującej bezkarności.

Pokój nr 3 — inżynier. Przez pierwsze trzy dni gospodyni stawia na stole świeże kwiaty z własnego ogrodu. Inżynier po tygodniu rewanzuje się gospodarzom paroma kieliszkami alkoholu. Widać idealny symbioz. Po dwóch tygodniach wypowiedzenie pokoju; inżynier pali za dużo papierosów. Po rozmowie wypowiedzenie zostaje cofnięte. Po kolejnych czterech tygodniach znowu wypowiedzenie; inżynier korzysta z narzby silnej żarówce. Proponuje dodatkową opłatę za prąd. Właściciel odmawiają i rekwirują silną żarówkę. Groźba lokautu zaleganania, ale koniec symbiozy. Inżynierowi zabrania się przyjmowania wizyt; goście brudzą podłogę na korytarzu. Zadenych kolebkach odjeżdża. Brak w łazience odpowiedniej ilości ciepłej wody. Gospodarka konfiskują klucz od wynajmowanego pokoju. Kontrola zawartości szafy pod nieobecność sublokatora. Próba egzekucji sublokatorskich praw kończy się sromotnie wypowiedzeniem pokoju. Inżynier wyprowadza się.

Suterena — solarz. Pomagał bezinteresownie w wykańczeniu wili. Kiedy pomoc przestała być potrzebna, otrzymuje wypowiedzenie ze skutkiem natychmiastowym. Musi zrobić miejsce dla bezdomnego małżeństwa, które zamiast picusiat, zapłaci osterkę złotych miesięcznie. Młode małżeństwo wprowadza się. Musi chodzić na palcach, jakby oboje byli przynajmniej z ulicy parą ubogich krewnych. Nie wolno prać, nie wolno zmywać ciepłej wody, nie wolno mieć dzieci. Bo właściciel dumniki zawrzeszył to sobie w ustnej umowie. Jeżeli małżeństwo zdecydowało się na dziecko, będzie musiało płacić tysiąc złotych miesięcznie, albo wyprowadzić się.

Przytoczone wyżej przykłady nasuwają wniosek, że jedyną gwarantującą sublokatorskich praw ma być uczciwość właścicieli mieszkań. Jeżeli właściciel, czy główny lokator jest człowiekiem uczciwym i ludzkim, sublokator istotnie we względnym spokoju może czekać na kwaterunkowe we współdzielcze mieszkanie. Zazwyczaj jednak blika się od jednego do drugiego sublokatorskiego pokoju. Uczciwość bowiem — rzecz subtelna.

Wiedziony głodem mieszkaniowym kandydat na sublokatora wstępuje w gościnę progi. Rozmowa zaczyna się od zaprezentowania wolnego pokoju i oznaczenia komornego kandydat na sublokatora jest w sytuacji przymusowej. Wolny pokój to szansa, która powtórzy się za tydzień lub za miesiąc. Jeżeli wolnego pokoju nie zaklepie natychmiast, podkupią go inni kandydaci. Kandydat na sublokatora niekiedy widać bezdomności widzi pokój, zna jego cenę, zna swoją sytuację, nie zna przyszłych gospodarzy. Musi ich akceptować w ciemno. Co działa się w oferowanym pokoju jeszcze wczoraj, tajemnica. Ktoś tu do wczoraj mieszkał, ale wyprowadził się — oznajmia przyszły gospodarz — bo dostał własne mieszkanie, wyjechał, ożenił się, itd. Kandydat na sublokatora musi uwierzyć dusząc w sobie podejrzenie, że poprzednik został po prostu doprowadzony do granicy nerwowej wytrzymałości. W sytuacji przymusowej nie ma wyboru. Kandydat na sublokatora decyduje się pokój wynająć. Zostaje natychmiast poddany skrupulatnemu badaniu. Gdzie pracuje? Ile zarabia? Czy jest kawalerem? Jeżeli nie jest, czy rozwiedziony? Jeżeli rozwiedziony, czyja wina? Jeśli żonaty, co robi żona, gdzie jest, i czy się nie wprowadzi za miesiąc? Właściciel bada z niedościgłym taktem profesję i powołanie rodziców sublokatora, takuś ubranie i twarz. Jeżeli sublokator nosi broń, musi natychmiast pójść do fryzjera; gospodyni nie lubi brodatych. Jeżeli ma własne meble, a pokój jest umeblowany, musi się mebli pozbyć. Sublokator usiłuje dowiedzieć się nieśmiało, co mu prócz czterech ścian będzie przysługiwać za sześćset, osiemset, tysiąc złotych miesięcznie. Przyrzadzanie śniadań i kolacji? Nie. Żona właściciela wtrąca mimochodem, żeby tu żadnych kobiet nie było, bo dom porządny i chrześcijański.

Sceneria przyszłej nierównej walki przygotowana. Sublokator wprowadził się do pokoju tego samego dnia i po dwóch — trzech tygodniach rozpocznie się wojna nerwów. Jeżeli doprowadzony do ostateczności, zwróci się gdziekolwiek o mediację, przegra we wszystkich instancjach, bo nie zawarł z właścicielami mieszkania pisemnej umowy.

Tymczasem, jeżeli zaproponuje właścicielowi zawarcie umowy na piśmie i będzie się przy tej propozycji upierał, weale nie zostanie sublokatorem. Zaden właściciel mieszkania nie podpisze umowy, w której by stało jak byk. Je sublokator ma do czegośkolwiek prawo, Właściciel mieszkania nie

podpisze umowy, że sublokator ma prawo do określonej temperatury w pokoju w zimie, że ma prawo do spokoju, do poszanowania intymnego życia i nietykalności osobistego mienia. Zaden właściciel nie podpisze umowy przynajmniej sublokatorowi prawo wyboru znajomych i ich odwiedzin, zabraniającej wypowiedzenia najmu w okresie zimy. Kiedy właściciel nie zobowiąże się piśmiennie, że po wypowiedzeniu najmu obowiązująć będzie trzymiesięczny okres, a nie termin stosowany przy ewakuacji miasta zagrożonego powodzią lub wojennymi działaniami. Właściciel nie podpisze umowy, w której by stało czarno na białym, że wzajemne prawa i obowiązki są znane i że obie strony mają zamiar te prawa i obowiązki respektować.

Umowa zawsze jest ustna. Tak więc sublokator będzie człowiekiem niesamodzielnym, układającym swoje życie nie na zasadzie własnego wyboru, ale w myśli niczym nie przymuszonej woli właściciela mieszkania, dla którego sublokator jest z jednej strony źródłem dodatkowego dochodu, z drugiej osobnikiem niebezpiecznym o wygórowanych wymaganiach.

Sublokator będzie od pierwszego dnia człowiekiem podporządkowanym woli drugiego człowieka. Jeżeli jest rozsądny, będzie się krył ze swoimi sercowymi sprawami i nie pozwoli swojej dziewczynie na odwiedzin w wynajętym pokoju, bo w razie pierwszego sporu z właścicielem mieszkania dziewczyna zostanie obrzucona wszelkim możliwym brudem. Będzie ukrywał lub niszczył i tak już często po doręczeniu przez listonosza spenetrowaną korespondencję, której zawartość przy pierwszym sporze będzie wykorzystywana przeciw adresatowi. Będzie wieczorem wchodził do mieszkania na palcach. Jeśli nawet dostanie klucz od własnego pokoju i będzie mógł zamykać, to rzadko tylko on będzie dysponował takim kluczem...

Kodeks karny, artykuł 207: „Kto, wyszukując przymusowe położenie innej osoby, zawiera z nią umowę nakładającą na nią obowiązek świadczenia oświadczenia niewspółmiernego ze świadczeniem wzajemnym, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5”.

Pozornie wszystko w porządku. Jest pojęcie wzajemnych świadczeń, których w umowie ustnej rygorystycznie ustalić niepodobna (jeżeli się to nawet uda w pierwszym halucynacyjnie pięknym reżymie z właścicielem wynajmowanego pokoju, egzekwowanie tych świadczeń zależy jedynie od rzadkiej uczciwości właściciela, która jeszcze rzadziej jest kategorią imperatywem). Prawo ustala odpowiedzialność karną za wyszuk osoby znajdującej się w przymusowym położeniu. Jednakże jest to czysta fikcja, bo prawo formułując okoliczności przestępstwa i ustanawiając odpowiedzialność pozostanie martwą literą tak długo, dopóki życie społeczne nie powoła szczegółowych przepisów umożliwiających kontrolę wystarczająco skuteczną, aby współmierność owich wzajemnych świadczeń była respektowana. Skoro bowiem fakt, że z jednej strony istnieje paręset tysięcy ludzi bez własnego dachu nad głową, a z drugiej właściciele mieszkań, którzy przyjmując sublokatora mają jedynie na uwadze powiększenie domowego budżetu, jest wynikiem ogólnej sytuacji lokalowej, to sprawa od dawna domaga się społecznej interwencji.

Władze administracyjne, jak dotąd, nie poczyniły starań, które by owym tysiącom zapewniły należyty ochronę interesów mieszkaniowych i bytowych. Władze administracyjne oraz ich lokalowe agendy nie kontrolują wynajmowanych prywatnie lokali, nie mają, ani nie starają się o wpływ na kształtowanie wysokości komornego rosnącego niejednokrotnie w sposób dowolny. Władze nie interweniują w przypadku sporu sublokatora z właścicielem mieszkania, nie obchodzą ich ustalenie zakresu wzajemnych świadczeń. Na koniec władze administracyjne nie rejestrują oferowanych prywatnie zasobów mieszkaniowych przynajmniej oczy na fakt istnienia w tym względzie łosie czarnego rynku.

Przepisy wprowadzające obowiązek zawierania umowy na piśmie wprowadziłyby niezbędny ład w tę dągną do dowolności prosperującą w pełnym społecznym świetle. Jest to, wydaje mi się, jedyny sposób nadania praw tym wszystkim, którzy z potrzebnych uprawnień nie korzystają ze szkoda osobistą i społeczną.

Rzecz prosta, nie chcę poddawać pod rozważanie władz i czynników społecznych gotowego rozwiązania. Idzie mi o zasymulowanie sprawy i o rzecz zasadniczą: o sposób zlikwidowania sytuacji dopuszczającej wyjątkowe lekceważenie wielu ludzi, którzy nie mają własnego mieszkania i tylko z tej przyczyny mogą stanowić jeszcze długo przedmiot eksploatacji uprawianej przez osobników pozbawionych kultury współzależności i skrupułów — w społeczeństwie zmierzającym powoli do regulowania stosunków między jednostkami w sposób, który by wykluczał możliwość do wykluczenia nierówności.

Bogdan Madej

Kamena str. 5

Kilka prywatnych inicjatyw teatralnych

Maria Bechzyk - Rudnicka



Janusz Kofta — „Okno”. Wanda Wieszczyka (Joli), Zbigniew Szejman (Reżyser), Józef Onyszkiewicz (Ilon) Fot. W. Parys

MOŻE wygląda to na upór nieco maniacki, że wysuwam raz po raz postulat przywrócenia dawnego gmachu teatralnego na Starym Mieście — teatrowi, lecz wierzę naprawdę, iż nadejdzie moment, w którym władze kierujące polityką kulturalną wezmą jednak ów postulat pod rozwagę, by znaleźć możliwości jego realizacji. Ale zanim nastąpi taka decyzja, niemało nagłowieć się musi kierownictwo artystyczne Teatru im. J. Osterwy chcąc wyjść poza krąg repertuaru, jaki zakreśla dla sceny wojewódzkiej plan usługowy tudzież finansowy.

Winnymy tedy szczerze uznanie Kazimierzowi Braunowi i naszym aktorom dramatycznym za szereg inicjatyw podjętych w bieżącym sezonie celem popularyzacji wśród lubelskiego społeczeństwa dramaturgii nowoczesnej i nowych środków przekazu jej złożonych treści.

Na pierwszym miejscu należy postawić, oczywiście, stworzenie sposobem gospodarczym „Reduty 70”. Skromna to scenka w sensie rozmiarów, lecz ileż ją trzeba cenić, skoro z chwilą jej powstania

uzyskano nie byle jaką placówkę eksperymentalną. Od niej tedy zaczynam.

Nie tak dawno temu mieliśmy sposobność mówić o zaletach pokazanych w „Reducie” spektakli „Smieszny staruszek” oraz „Protesyllasa i Laodamii”. Ale były to jeszcze pozycje, rzec można, wypróbowane. Wystawiając natomiast próby dramaturgiczne Józefa Czechowicza teatr decydował się na pewne ryzyko. I tym razem jednak się udało.

Obecnie zaś można, zdaje się, przewidzieć, iż eksperymentowanie stanie się „regulą kondyty” dysponentów „Reduty 70”. Uzasadniają niejako tę prognozę dwie ostatnie prezentacje ambitnej scenki.

Pierwsza z nich — to debiut dramatopisarski aktora nowohuckiego Teatru Ludowego, Aleksandra Bednarza, „Dzień dobry Mario”. Rzecz wyrosła, powie działabym, w klimacie francuskiej i angielskiej dramaturgii współczesnej, lecz problemy jej przybierają postać uwarunkowaną konkretnymi rzeczywistościami bliższej, krajowej.

Aleksander Bednarcz pokazał parę młodych kochanków, którzy po-

padając w konflikt z „normalnym” społeczeństwem, omraczają swoje „szczęśliwe lata” kłopotami materialnymi i gniewem na cały świat. Romeo i Julia zbuntowali według szablonu nowoczesnego.

Nowocześni są w pogardliwym, wręcz cynicznym stosunku do rodziców, w mizantropii, nieufności, w akcentowaniu absurdu życia, w lękach, poczuciu osamotnienia, w ucieczce do nieokreślonych oczekiwań.

„Wyspa miłości” tych dwojga staje się obskurny pokój w czynszowej kamienicy, w podejrzany czołczeniu. Nie dość tego: przypadek narzuca im towarzysztwo starego śmieciarza, widocegi, trochę z Gorkiego, trochę z parafii hippiesów. W istocie jest on byłym zegarmistrzem, którego okupacja uczyniła abnegatem i — filozofem.

Atoli właśnie przy pomocy tego osobnika autor dokona pewnej wolty, by dopuścić do sztuki lekkiej powiew optymizmu.

„Dzień dobry, Mario” ma swoje usterki, niemniej jest to, jak się mówi, „coś dla ludzi”.

A debiut był potrójny, gdyż pierwszą sztukę aktora Bednarza wyreżyserował pieczołowicie też aktor — Jerzy Schejbal, scenografię zaś (bardzo sugestywny pokój na podwórku) zaprojektował trzeci aktor — Tadeusz Kuduk.

Młoda para, Maria i Józef, grał (z powodzeniem) autentycznie bardzo młodzi aktorzy: Ewa Wolf i Sylwester Woronicki. Najstarszemu z ekipy aktorów (Kazimierz Śledziecki — pokolenie średnie) powierzono słuszną rolę starożytności, najtrudniejszą.

Następnym krokiem na „dzikich polach” eksperymentu było wystawienie „Oka” Janusza Kofty, „gry dla młodych aktorów z Widzów”.

Nie jest to, ściśle mówiąc, premiera, ponieważ, jak informuje program, „grę” — grano już w zeszłym roku na scenie niezawodowej w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie, w reżyserii Aleksandra Bardinięgo. Reżyser obecnego spektaklu, aktor Teatru Osterwy, Marian R. Miczka, znajdował się wówczas wśród wykonawców, studentów PWST.

Mamy przecie i w tym przypadku do czynienia z debiutami. „Okno” jest wszak pierwszą „większą całością” napisaną przez J. Koftę, którego nazwisko popularyzowały dotąd drobniejsze teksty wokalne. Marian R. Miczka, ze swej strony, po zaprezentowaniu się lubelskiej publiczności w roli Protesyllasa, potem — Posłańca z „Antygony”, zadebiutował teraz w funkcji reżysera.

Trzeba stwierdzić, że realizatorzy „Oka” (Barbara Kozłarska, Wanda Wieszczyka, Zbigniew Szejman, Józef Onyszkiewicz, Edwin Petrykat, Marek Kepiński, Marian Miczka) nie otrzymali łatwego zadania. „Okno” w zamierzeniu jest parodią na „koncepty twórcze” reżysera filmowego, który nie ma nie do powiedzenia.

Kto chce, może doszukać się tu różnych metafor i analogii. W sumie jednak scenariusz jest raczej pretekstem do zaprodukowania kilku piosenek (muzyka Macieja Maleckiego), niby parodystycznych, lecz bzdurnych nie dość dowcipnie. Najlepsza jest, prawdę powiedziawszy, piosenka serio: *Zatoki ramię fala głodzi / Przesiewa piasek słony wiatr, / Obecnych nie ma. Coraz rzadziej / Natrafia się na ludzki ślad.*

Ale spektakl ma dobre tempo, są zabawne sytuacje, śmieszny desperacki bieg Reżysera do koka „areny”, słynne sięganie prawą ręką za lewe ucho, pseudoerotyczne zamiatanie się na materacu, zacieplenie Widza, „egzystencjalistyczne” medytacje dwóch młodocianych nierobów itp. Grają przeciwko aktorzy zawodowi. Piosenkarstwo natomiast ma posmak nieco zbyt amatorski, nawet jak na parodię (wyjątek stanowi Miczka, który wykonał z temperamentem standardową, zdaje się, piosenkę „Oka” — „Jak byłem mały, byłem w ZOO...”).

Inicjatywy aktorów Teatru Osterwy nie kończą się na „Reducie”. Za ich staraniem, dzięki porozumieniu

z Miejskim Domem Kultury, Klubem Międzynarodowej Prasy i Książki oraz klubem LSM, powstało już w październiku ubiegłego roku tzw. Studium Dramaturgii Współczesnej, pod patronatem kół SPATIF i z blogosławieństwem, że tak powiem, Kazimierza Brauna, który też zainaugurował cykl imprez Studium reżyserując „Historię fryzjera Vasco” Georgesa Schehade w przekładzie własnym.

Jest to teatr przy stoliku wzbogacony dyskretnie markowanym gestem i ruchem, nadto pokazem fotostopów, słowem wstępnym i dyskusją.

Po „Historii fryzjera Vasco” zaprezentowano „Powrót do domu” Pintera, „Ścisły nadzór” Geneta, „Kartotekę” Różewicza, „Aniela na dworcu” Abramowa.

Udział w przedsięwzięciu brali dotychczas: Barbara Wronowska, Roman Bartosiewicz, Zbigniew Górski, Roman Kruczkowski, Witold Lisowski, Kazimierz Śledziecki, Edmund Petryk, Henryk Sobiechart, Stanisław Stojko, Zbigniew Szejman, ale grono uczestników powiększa się w miarę realizowania nowych pozycji.

Reżyserują obecnie kolejno aktorzy. Każdy „spektakl” odbywa się w lokalach trzech wymienionych placówek, lecz były dodatkowe prezentacje w innych klubach, a nawet w Świdniku dla załogi robotniczej.

Doskonała frekwencja, jaką cieszy się ta dramaturgia na głos czytana, sprawia szczególną satysfakcję wobec coraz częstszych dźwięków lekczenia literatury dramatycznej przez młodych reżyserów teatralnych.

Warto też wspomnieć na zakończenie o niedawnym udziale lubelskich aktorów w pewnym słuchowisku radiowym.

Wiadomo, że rozgłośnia prowincjonalna nie rozporządza w swym budżecie sumami, które by jej pozwalały na planowe i częstotliwe angażowanie do swoich słuchowisk — aktorów zawodowych. Tedy słuchowisko lubelskiego literata, a zarazem radiowca, Zbigniewa Stepka, wyreżyserowane przez Kazimierza Brauna i wykonane przez aktorów Teatru im. J. Osterwy, można uważać za ewenement. Tym bardziej, że była to nader zrzeczna adaptacja powieści satyrycznej pisarzy radzieckich Anatola i Borysa Strugackich „Poniedziałek zaczyna się w sobotę”.

Punkt wyjścia do perypetii słuchowiska stanowi sensacyjna przegoda pewnego obywatela z wyższym wykształceniem, który jadąc do Solowca trafia przypadkowo do „INBADCZAMU” — Instytutu Badań Czarów i Magii, gdzie w Oddziale Wiecznej Młodości odbywają się akurat prace nad modelem człowieka doskonałego i nieśmiertelnego.

Słuchowisko bardzo udane — tedy nowy triumf słowa, dowcipu słownego.

Tym razem inicjatywa „teatralna” wyszła z Rozgłośni PR, niech więc żyje Radio, potrzebujące od aktora dobrze mówionego tekstu.

POKER POD SEMAFOREM

Dokończenie ze str. 1

motywkę wstawię sobie do łazienki, żeby mi wodę do kąpieli ogrzewała.

Po tym incydencie nie mogło być już zgody pomiędzy zawiadowcami, a przecież liczyli się nie tylko oni. Zadupie tu jest zakazane. Miasteczko niby ładne, schludne, kilka szkół, sporo inteligencji, ruch turystyczny wypoczynkowy, ale stacja leży o 4 km dalej. Po obu stronach torów budynki kolej, wokół zaś domy mieszkalne. Małe osiedle, częściowo przekształcone ze wsi, a częściowo rozbudowane pod wpływem rozwoju stacji.

Przejętnemu pasażerowi kolei wydaje się, że w takiej dziurze jest jakiś Główny Kolejarz, naczelnik

czy jak mu tam, oraz podległy personel. Otóż nie. Stacją szerokotorową rządzi zawiadowca Szeroki, zaś przylegającą doń wąskotorówką — zawiadowca Wąski. To nie koniec. Mają tu swoją siedzibę zawiadowca odcinka drogowego, liczącego ponad 50 km długości, który odpowiada za stan torów, oraz zawiadowca służby drogowej, który odpowiada za stan urządzeń sygnalizacyjnych na kilkudziesięciokilometrowym odcinku, nie pokrywającym się zresztą z odcinkiem drogowym.

Kolejarze noszą na kombinezonach dyktando, mówiące o posiadanej grupie uposażeń, lecz kolej to nie wojsko, gdzie wystarczy dwóch szeregowców razem, a już jeden musi być ważniejszy i dowodzić. Zaden z zawiadowców nie podlega drugiemu. Współdziałają ze sobą, świadczą sobie usługi, mogą składać skargę, gdy partner nawali, ale na miejscu władzy nad sobą nie mają. Każdy, oprócz złotych pasków i kwadraczków, posiada na kombinezonie jeszcze nasywkę w innym kolorze niż pozostali. Oznacza ona przynależność do określonej służby, a jednej służbie wara do drugiej. Gra się bez

atu. Nawet zwierzchników mają innych. Szefem Szerokiego jest na ten przykład naczelnik w Lublinie, szefem Wąskiego — naczelnik w Chełmie.

Przyznacie państwo, że czterech zawiadowców w jednym miejscu, każdy samodzielny, jest rozwiązaniem może organizacyjnie właściwym, jednak towarzyszy kłopotliwym. Honor Polaka wystawiany jest za często na dokuczliwe próby. Kto pierwszy powinien się kłaniać? Kto przemawiać na wspólnej akademii, jeśli taka zdarzy się? Przy tym nie można zapominać, że oprócz czterech zawiadowców są cztery panie zawiadowcze, każda jest wyemancypowana i swoją ambicję ma.

A tak nieformalnie, lecz moralnie: który z zawiadowców jest najważniejszy? Z pewnego punktu widzenia Szeroki. Stałmy na torze i popuśmy wodze fantazji. Dokąd można, przekładając wachy i zapalając zielone światła, zalecać? Do Warszawy, Krakowa, Sofii, Rzymu, Paryża. Kolej to szeroki świat. Szeroka kolej, ma się rozumieć. Z innego punktu widzenia pan Szeroki jest tylko marnym pionkiem na tej wielkiej szachownicy. Natomiast pan Wąski, choć w skromniejszej grze, kreuje ważną figurę. Jedną z słownych postaci na całej linii wąskiej. Tu można by się uśmiechnąć i spytać, co jeden czy drugi zawiadowca stacji zrobi, jeśli zawiadowca Drogowy nie przygotuje torów tak, aby mogły na stację dotrzeć pociągi? A jest przecież jeszcze ostatni z czwórki, bez którego cały interes też nie ruszyłby. Gwoli ścisłości należy dodać, że waskotorówka ma swego osobnego zawiadowcę odcinka drogowego i swego zawiadowcę służby ruchu drogowego, jednak do pewnego momentu na tej wielkiej szachownicy. Natomiast pan Wąski, choć w skromniejszej grze, kreuje ważną figurę. Jedną z słownych postaci na całej linii wąskiej. Tu można by się uśmiechnąć i spytać, co jeden czy drugi zawiadowca stacji zrobi, jeśli zawiadowca Drogowy nie przygotuje torów tak, aby mogły na stację dotrzeć pociągi? A jest przecież jeszcze ostatni z czwórki, bez którego cały interes też nie ruszyłby. Gwoli ścisłości należy dodać, że waskotorówka ma swego osobnego zawiadowcę odcinka drogowego i swego zawiadowcę służby ruchu drogowego, jednak do pewnego momentu na tej wielkiej szachownicy.

Początkowo sytuacja była remisowa i nawet mocniejsza kanonada słowna przy świadkach: „Panie zawiadowco, ja pana pokażę”, „Panie zawiadowco, a ja pana chromolę” — nie przeważała szall. Organizacje społeczne nie brały w sporach udziału, jako że domena ich są głównie problemy wewnętrzne, a tymczasem każda służba ma swą własną i każdą swego męża zaufania związków zawodowych. Jeśli organizacje były jako tako zainteresowane, to pośrednio, gdyż zawiadowca Wąski jest i sekretarzem

POP u siebie, zaś syn zawiadowcy Szerokiego, maszynista, i sekretarzem w placówce zarządzanej przez ojca. Remis. Szeroki komenduje grupie kolejowej ORMO, w której skład wchodzi pracownicy wszystkich służb. Punkt dla Szerokiego. Wąski — niech to piorun trzaśnie, gdzie tu sprawiedliwość! — zawiaduje stacją o dwie klasy wyższą. Punkt dla Wąskiego. Remis. W odznaczeniach, premiach i nagrodach wszyscy czterej zawiadowcy mniej więcej są na równi.

Spory, jaki kolor nasywki na kombinezonie jest najważniejszy, wydawały się tak długo ważyć, dopóki nie zaczęły się rozdziewki wewnętrzne wśród personelu stacji szerokiej. Personal jest 30-osobowy. Dostatecznie, żeby podzielić się na frakcje. Frakcje są trzy: Szeroki i grońo bliskich mu, antyszerecy i neutralni. Poprzednik Szerokiego nie był lubiany. Wysokość za nieumiejętność współzycia z ludźmi. Cieszył się z tego jeden dzieć. Nowy — mówią antyszerecy — jeszcze gorzej: ochrania, obcina premie, wystawia wnioski o potrącenia z pensji. Dyrekcja przysłała pismo pytające, kogo awansować z Nowym Rokiem. Odpowiedział, że nikt nie zasługuje. Tak robi kolejarz. A chamuta jest przy tym wyjątkowy. Ty taki-owaki powiedzcie, to dia niego nic. Zadnego uważania nie da człowiekowi. Czy kto chory, czy ma jakie kłopoty, nie go nie obchodzi. Człowiek jest dla planu, czy plan dla człowieka? No, jeszcze to gwałcenie...

Opowiem, do jakiego raję się dostałem — użala się zawiadowca Szeroki. — W okolicy jest kilka dużych zakładów przemysłowych. Nowoczesne. Robota w nich lekka, zarobki niezłe, różne świadczenia socjalne. A na kole, wróż czy upał, trzeba przefundować wagony. Mam tu trochę starszych ludzi, solidnych, i trochę młodszych z kolejarzów rodzin, z tradycjami. Z nimi dobrze. Inni od niedawna pracują na kole. Nie orły, wiadomo, skoro nie leżą do fabryki. Na kole musi wszystko grać jak w zegarku. A im się wydaje, że to chłopskie gospodarstwo. Idę nocą skontrolować przetoki, patrzę: tu śpi jeden, tu drugi, tam różna w karty. Mam popuszczacz? Raz, drugi objęde, a potem karzę. Węgiel kradną, łobuzy. Nie dla siebie, każdy ma deputat. Kradną i sprzedają. 38 ton podwalił przez kilka lat. Moc. Nie

wyparowało i nie rozkruszyło się. Może nawet więcej? W każdym razie kontrola ustaliła, że 38 ton. I wiesz pan co: oskarżyli, że to ja ten węgiel ukradłem i sprzedałem. Mnie! 26 lat mundur kolejowy noszę. Inspekcja mi na głowę zjechała.

Stop. Antyszerecy relacjonują, że z tym węglem było inaczej. Zawiadowca pobierał węgiel na ogrzewanie pomieszczeń stacyjnych i roboczych oraz na oświetlenie urządzeń torowych i sygnalizacyjnych, wydał zaś pracownikom mniej niż należało. Złożył skargę. Zjechała komisja. Zawiadowca nie był w stanie rozliczyć się z 38 ton. Obciążono go za to materialnie, rozłożono na raty i zaczęło potrącać z pensji.

Teraz skargę na tę decyzję złożył Szeroki. Na stacji nie ma odpowiednich warunków do przechowywania węgla. Leży na stosie i bierze, kto chce. Czy on ma za wszystkich płacić?

Potrącania z pensji zaprzestano do czasu wyjaśnienia sprawy, a potrwa to zapewne dłużej niż wypalenie 38 ton. Jaki będzie rezultat dochodzenia, nie wiadomo, na razie zapanował spokój. Nie na długo wszakże, bo oto zagrzmiło z nową siłą. Gwałcenie dziewczyn!!!

Tu na scenę wydarzeń wejście kilka nowych postaci. Jedną z nich jest druga co do ważności osoba na „stacji szerokiej”. Sympatyczny, główny dyżurny ruchu. Pan ten, już po sześćdziesiątce, zna się na umiarkowanej powściągliwości i równie umiarkowanej staroświeckości oraz równie manierami, czym różni się od Szerokiego. Sympatyczny nigdy nie podnosi głosu, nikogo nie stawia do raportu, nie karze — ku czemu nie ma zresztą specjalnych uprawnień — toteż poważnie go lubią. Poza tym jest z urodzenia tutejszy, jak większość kolejarzy. Ma w miasteczku swój dom i jednorodzinny, do nieporozumienia siedzących mieszkańców przystajęcego osiedla nie wtrąca się. Ani go porównano z Szerokim, który przyjechał tu nie wiadomo skąd, zajmuje służbowe mieszkanie nad stacją i nie wiadomo kiedy może się zabrać.

Taki obcy, zrozumiałe, nie czuje się związany z miejscowymi ludźmi, nie ma dla nich zrozumienia ani serca — powiadała na stał.

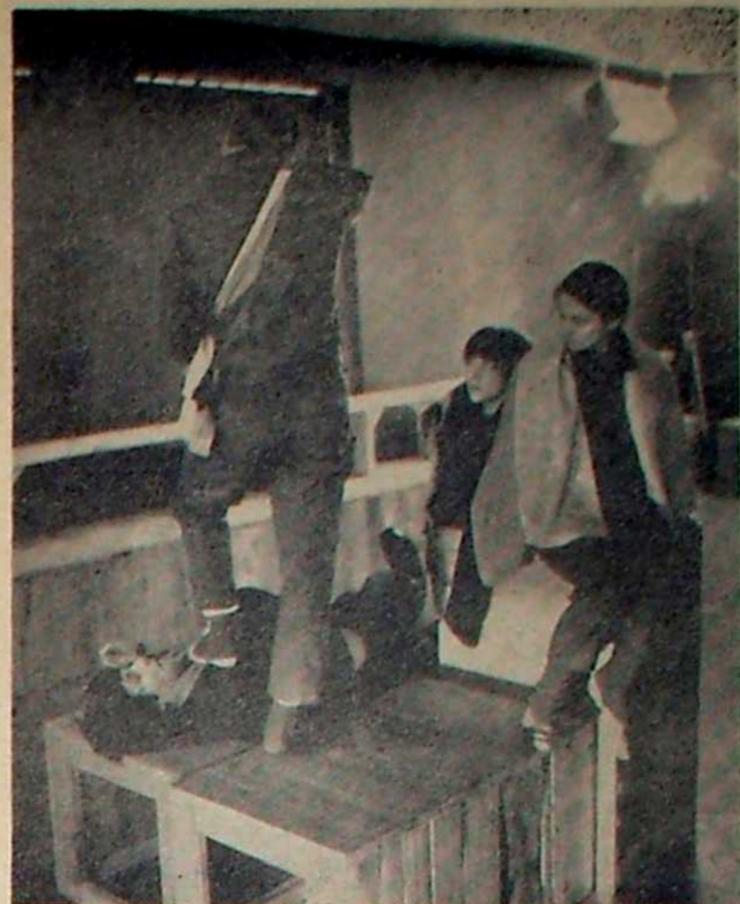
Sympatyczny antyszerecy skupił się więc na Sympatycznym. W nim

JESLIBY wyłączyć przypadki krańcowe, wolno chyba z dużym prawdopodobieństwem rzec, iż młodzi absolwenci szkół teatralnych nie miewają przesadnych kłopotów ze znalezieniem pracy w swoim zawodzie, skoro tylko nie upierają się przy karierze stołecznej. Pierwsza posada w teatrze daje im około 1700 zł miesięcznie oraz możliwość „dorobku” pobocznego, co wprawdzie w sumie obala pewne mitologie nastolatków, lecz samym absolwentom nie funduje żadnej tragedii bytowej, a nawet wręcz przeciwnie... Tym więcej, że ich sytuacja mieszkaniowa przy podjęciu pracy w „terenach” również na ogół normalizuje się i stabilizuje na przyzwoitym poziomie (poza chyba

cyjnie uruchomiono (a rzecz musiała oprzeć się aż o odpowiedni resort — pięć nowych etatów pozaoperacyjnych!) i skoro sprawa mimo wszystko trwa nadal. Ale i w decyzji młodej grupy teatralnej (liczą od 22 do 27 lat) znajdują same tylko cnotliwe intencje. Mówimy szczerze — dla większości z nich raczej odpadały ewentualne kłopoty ze znalezieniem pracy w zawodowym teatrze. Zaś na żadne finansowe rarytasy, mimo że zakład bogaty, od początku nie mogli liczyć. Jako pracownicy ZDK mają etaty instruktorów kulturalno-oświatowych z pensją od 1800 zł do 2300 zł miesięcznie. Niby lepiej nawet niż na początku w „regularnym” teatrze. Tylko że perspektywy awansu bardzo ograniczone, bo ile w końcu najwięcej może za-

wyciągnąć zza kierownicy czy sprzed telewizora oglądanego w domowych lub hotelowych pieleszach, czemu zresztą sprzyja krajowy model domów kultury z ich mnogością zespołów dziecięcych i młodzieżowych, a o czym nudił mi się już pisać wobec faktu, że nasze dyskusje nie mówią o zasadniczym zmianie tego modelu, lecz tylko o drobnych jego ulepszeniach. Robotnik (często dojeżdżający chłopotobnie) nie ma czasu ani — bądźmy rozsądni — przygotowania do przyjęcia konwencji takiego teatru. Można więc na początku liczyć tylko na widza przypadkowego, a było i tak, że grał dla jednej osoby! Do tego jeszcze wróć.

Kiedy rozmawiałem z członkami zespołu, wyłoniło się w tej pogawędce



Scena z „Misterium Buffo”

Fot. M. Holzman

Między cnotą a naiwnością

Maciej Podgórski

Lublinem, gdzie jest nie najbardziej radosna, o czym zresztą ogólnie wiadomo).

Ta umiarkowana, lecz — bądź co bądź — optymistyczna diagnoza o możliwościach startowych „teatralnej” młodzieży aktorskiej i reżyserskiej potrzebna mi do wydedukowania motywów unikalnej i chwalebnej decyzji, jaką w roku 1970, bezpośrednio po ukończeniu studiów, podjęła grupka absolwentów warszawskiej PWST (Małgorzata Dziewulska, Piotr Cieślak, Ryszard Peryt). Dobierając jeszcze dwie osoby z wykształceniem wyższym pozaartystycznym (Ewę Benesz — była aktorką teatru Grotowskiego, i Pawła Targiela — uczestnika amatorskiego ruchu teatralnego), postanowili mianowicie założyć z wodów zespół teatralny przy dużym zakładzie przemysłowym na tak zwanej prowincji. I udało się — od września 1970 roku przy puławskich „Azotach”, a ściślej — przy tamtejszym Zakładowym Domu Kultury. Jest to bodaj pierwszy i — jak dotąd — ostatni tego rodzaju przykład w naszym kraju. I nie nieporadę, że to brzmi patetycznie, bo to jest prawda, w dodatku krzepiąca. Aczkolwiek nie całkiem prosta i łatwa, jak się okaże.

Widać szlachetny duch kulturalno-oświatowego hobby działa w „Azotach”, skoro sprawę organiza-

robić instruktor kulturalno-oświatowy? Tak samo możliwość „dorobku” minimalna, skoro poza robotą nad swoim teatrem mają jeszcze etatowy obowiązek prowadzenia zespołów amatorskich.

Ja tutaj nikogo o nic nie obwiniam. Są bowiem określone przepisy normujące ogólnopolski status ZDK, nad którymi warto by ewentualnie się zastanowić, lecz to kwestia obszerniejszej dyskusji, nie zaś momentu, w jakim szlachetnie zdecydowano się na organizacyjne usankcjonowanie, a potem kontynuację tego absolutnie nietypowego pomysłu. Sądzę tylko, że w intencjach młodego zespołu od początku tkwiła ochota na pokazanie ich własnej artystycznej sprawy w „świętym” środowisku Lubelszczyzny, gdzie istnieje właściwie tylko jeden zawodowy teatr dramatyczny, spełniający funkcje omnibusu. Równocześnie zamiarem ich było wyjście poza dotychczasowe schematy instytucji teatru profesjonalnego. I myślę jeszcze, że w sposobach rozegrania napięć między sympatyczną ambicją zrobienia własnego niekonwencjonalnego teatru, a naturalną koniecznością pozyskania dlań widza, jawnie się okazuje różnica pomiędzy cnotą a naiwnością. Szczególnie w środowisku, jakim są Puławy.

A środowisko nie jest łatwe. Inteligencją techniczną dosyć trudno

klopotów, mniejszych i większych, co niemiara, które z obowiązku dziennikarskiego odnotowuję tak, jak mi przekazano. Próby rozpoczęły w sali widowiskowej ZDK, ale ponieważ przez scenę wchodziły jedynie przez białej, a ztem jedyną drogą dla... bigosów i innych halowych przystaw, więc szybko przeniesiono je w podziemia obiektu do niewielkiej sali, która, mieszcząca 50-60 widzów, stała się oddat terenem prób i spektakli, ale która dzieliła z amatorskim zespołem tanecznym, a mieli jeszcze dzielić z dziecięcym zespołem rytmiki. Salka zresztą zimnawa i nie chroniąca przed odgłosami prób orkiestry dętej czy ucich karnawału, podczas którego przedstawienia w ogóle są zawieszane. O braku pomieszczeń na oddzielną garderobę teatralną nie wypada już nawet wspominać.

W tej sytuacji ważna radość to, bez przesady, doskonale osobiste warunki mieszkaniowe całego zespołu — oddzielne, świetnie wyposażone pokoje w hotelu robotniczym wysokiej klasy, jaki został po zachodnich specjalistach budujących kombinat. Lecz i tutaj wyłaniają się rozmaite sprawy mało krzepiące. Członkowie teatru płacą po 8 zł dziennie za swoje lożum, ale mają płacić po 18 zł, a to w skali miesięcznej może już dla nich stwarzać problemy finansowe, jeśli — na co się zanosi — w ogóle nie zostaną wyeksmitowani w warunki lokalowe znacznie gorsze (takie luksusowe pokoje bowiem mogą z powodzeniem służyć — a 80 zł za dobę — panom na delegacji).

Reklama teatru w środowisku jest żadna. Nie wiem, czyja wina. Idą informacje przez radiofonijny zakładową, lecz — bądźmy poważni — kto tego słucha? Gazeta zakładowa natomiast ogranicza się tylko do zdawkowych recenzji ze spektakli. Gablot ze zdjęciami w mieście nie zauważyłem. Plakaty rozlepiają sami, twarde konkurując w tym zakresie z amatorską działalnością innych instytucji, a i tak bywa, że po nocy odnajdują swój plakat... usłuchany klepsydrami (czyżby w Puławach zabrakło profesjonalnego „rozlepiacza”?).

Próbowali załatwić sprawę anonso- wów teatru w odpowiednich rubrykach lubelskiej prasy codziennej — nie wyszło.

Nawet gdyby połowa tych kłopotów miała ze strony zespołu — jak się to pięknie powiada — charakter subiektywny, to i tak członkowie teatru obok bezinteresowności wykazują się cnotą wielkiej cierpliwości. Problem cały wszak ambiwalentny, zaś próba zawiązania anonsu w prasie lubelskiej naprowadza na trop zasadniczy w tej materii.

Podjężrewam, iż oni sobie umyśliłi obłądną analogię z sytuacją, w każdym razie z dawną sytuacją: Nowa Huta — Kraków. Lecz trzeba pamiętać, że w Lublinie intensywność życia teatralnego i rozbudzonych zainteresowań teatralnych widza jest daleko mniejsza niż w Krakowie, a przede wszystkim że — sprawa prozaliczna — relacja ko-

munikacyjna między Puławami a Lublinem wygląda o wiele gorzej niż między Nową Hutą a Krakowem (gdzie po prostu kursują tramwaje). Tak więc teatr istniejący przy „Azotach” nie ma możliwości pełnić wobec Lublina takiej roli, jaką wobec Krakowa pełnił — oczywiście na innym poziomie — nowohucki teatr Skuszanki, a potem Szajny. Teatr puławski może zasadniczo liczyć tylko na widzów puławskich i powstaje pytanie, co teatr ów zrobił, żeby chociaż wstępnie widzów tych pozyskać i wychować?

Dotąd opracowali dwa spektakle — „Misterium Buffo” Majakowskiego (pierwszy znak istnienia teatru i pierwszy kontakt z widzami, premiera 14 XI 1970 r.) oraz składankę: „Niedźwiedź” Czechowa i „Świeczą zgasła” Fredry (premiera 19 XII, a następna — w zmienionym układzie — 24 I 1971 r.).

Oglądałem niedawno spektakl zrobiony na podstawie Majakowskiego. Teatr całkowicie umowny. Krańcowa prostota a zarazem wielofunkcyjność rekwizytu. Charakterystyka i kostium w zaniku. Ograniczenie tekstu znaczne — na rzecz zróżnicowanych i ekspresywnych walorów onomatopeicznych. Wszystkim rządzi całościowy wyraz ciała aktora w ruchu. Tak samo jak ekspresja głosu. Nie chcę w tej chwili dyskutować nad wartością widowiska, aczkolwiek ako-

Dokończenie na str. 11

też pokładali całe nadzieje zwalczania Szerokiego. Dopomogło im, że Szeroki i Sympatyczny nigdy nie lubili się. O co im poszło, nie wiadomo, w grę wchodziła kwestia uposażeń, może fakt, że Szeroki kilka razy wystawiał wnioski o ukaranie Sympatycznego oraz przeciwstawił się przyznaniu mu podwyżki...

— Stary kolejarz, doświadczony, a na służbie drzemie. Złapałem go na tym kilka razy — mówi.

— Wcale nie jest tak. Zazdrościł mi i to wszystko. A że zastępuje niewłaściwie, ludzie się bronią. I do mnie, jako najstarszego wiekiem i doświadczeniem zawodowym, zwracają się o pomoc. Dlatego załapałem się sprawą Anny i Krystyny — na to Sympatyczny.

Anna ma lat 22. Była dyżurnym ruchu. Takim niższego stopnia, podległym dyżurnemu starszemu. Zamieszkała, do pracy dojeżdżała:

— Siedzę w nocy w dyżurce. Majecha ekspres nr 13109. U nas nie zatrzymuje się, dajemy zielone światło. Ale to nie wystarczy. Na peronie powinien stać dyżurny i pokazywać maszyniście wolną drogę. Jeśli go nie będzie, maszynista powinien zahamować, mimo zielonego światła — przedstawia dalej wydarzenia Sympatyczny. — Dzwonię więc do Anny, żeby przypomnieć jej o wyjściu do pociągu. Ona wie sama, jednak ja muszę za każdym razem przypominać. Istnieje u nas kilka równoległych systemów zapewniania łączności i bezpieczeństwa ruchu. Jeśli zawiedzie jeden, działają inne. Dzwonię, Anna nie odpowiada. Dzwonię drugi raz, nie, a tu już mam telefon, że ekspres pędzi w naszą stronę. Zaczynam szukać jej przez telefon w innych pomieszczeniach. Wreszcie kasjer mówi: „Ania stoi pod kasą i płacze”. Ja do niej. Rozzochrana, roztrzęsiona, mówi, że nie może wyjść do pociągu. Kazalem jej przestać histeryzować, obetrzeć by i wyjść dał sygnał. Potem, po pracy, pogadaliśmy. Zwierzyła się, że Szeroki od dawna ją prześladowa. Na odpra-

wach krytykuje i udziela upomnień, a w cztery czy nachełnie zaleca się i obiecuje, że jak mu będzie uległa, pomoże jej w karierze na koleji. Wtedy, w nocy, złapał ją w dyżurce nastawni, zaczął przemocą kłamać, wkładać ręce za staniak, potargał, poobrywał guziki od munduru. Pytam, dlaczego nikomu się dotychczas nie poskarżyła. Powiedziała, że skarżyła się koleżankom, lecz one mają takie same historie, zwłaszcza Krystyna. Wtedy porozmawiałem z kobietami na stacji, sprawdziłem, jak to jest i powiedziałem, by Anna i Krystyna, które były najwięcej napastowane, złożyły skargę do dyrekcji.

Krystyna też ma lat 22, mieszka na wal, w pobliżu stacji, u ojca. Niedawno wyszła za mąż, za rówieśnika, pomocnika maszynisty. Była kancelistką Szerokiego. W dochodzeniu oświadczyła, że wiele razy zapraszał ją do miasteczka na kawę czy wino, ale nie chciała. Obiecywał, że zapiekuje się nią, pomoże w pracy. Pewnego razu, na wieczornym dyżurze, kazal jej iść ze sobą do archiwum, mieszczącego się w piwnicy. Tam zamknął drzwi za sobą i rzucił się na nią. Zagroziła krzykiem. Powiedział, że z piwnicy żaden głos nie wyjdzie. Nie dała się zgwałcić i odtąd stał się dla niej niemyślnym wrogiem.

W tym czasie, gdy obie dziewczyny wyszły skargę, na wniosek Szerokiego zwolniono z pracy Annę oraz ojca Krystyny, pracownika fizycznego stacji. Za zaniębywanie swoich obowiązków. Oboje odwołali się do dyrekcji i zwolnienia cofnięto. Poprzezonożone ich tylko na inne stacje. Anne zresztą do rodzinnej miejscowości. Krystyna sama postarała się o przeniesienie. Mówi, że woli dojeżdżać, niż pracować pod ręką Szerokiego.

Wtedy sprawa stała się głośna. Zwiększa po tym, jak do miasteczka zjechał redaktor z gazety dla kolejarzy i opisał to wszystko dokładnie, z nazwą stacji oraz nazwiskiem Szerokiego, a także nazwiskami dziewczyn.

— Zabill mego męża w gazecie. Zupelnie zabill — narzeka jeszcze dziś żona Szerokiego, choć od tamtej pory upłynęło ponad pół roku.

zrzutu o próbę gwałtu, a oskarżył Szerokiego o próbę wymuszenia przy korzystaniu ze stosunku zależności służbowej. Sąd skazał zawiadującą na rok więzienia z zawieszaniem na dwa lata, półtora tysiąca złotych grzywny oraz kosztów postępowania.

— Jakbym obuchem w łeb dostał — rozkłada bezradnie ręce Szeroki, mężczyzna średniego wzrostu, średniej tuszy i urody, ze średniej wielkości łysiną. — Niech pan sobie wyobrazi siebie w mojej sytuacji: pięćdziesiąt dwa lata życia, żona, pięcioro dzieci, poważny, ustalony, wypracowany, działacz społeczny i nagłe taki cios. Tylko sobie w łeb pałać. A przecież, panie, ja tych dziewczyn nie tknęłem. Ani mi to w głowie zaświtało. Jakbym chciał przycody, poszedłbym do miasteczka. Malo to samotnych wczasowiczek? Tylko czekają na mężczyzn, jeszcze kolację sutą postawiłyby. Więc skąd ja bym z takim, jak te...

Tu pan Szeroki że wyraża się o moralności Anny i Krystyny i zwierza, że miał nawet zamiar przedstawić na to dowody sądowi, wszakże doszedł do wniosku, że jego sprawie to nie pomoże.

Wyrok zapadł rano, wieczorem zaś grupy chłopów wiejskich podjeżdżały na rowerach pod stację. Stawali pod oknami Szerokiego, krzyżeli chórem „Gwałticiel, gwałticiel, gwałticiel” i znakali w ciemności. Wied odgrzywała się za swoje.

Powody miał nawet ci, którzy nie pracują na koleji. Stacja jest bowiem duża i szeroka, przejścia przez nią żadnego nie ma, tymczasem wieść leży po obu stronach toru, ludzie z jednej do drugiej, z drugiej ziemię itp. Przechodzą więc przez tor, ile razy im trzeba. Nielegalnie. A Szeroki to teipi. Nasyła straż kolejową, kieruje wnioski do kolegium i sądu. Kilku przez to nawet siedziało. Boże broń, żeby który gospodarz przyszedł na stację dopić się piwem. Na takich, Szeroki to jak wściekły pies. Dobrze, że sąd mu dołożył, ucieszyła się wieść Gwałticiel, gwałticiel!!!

Na szczęście dla zawiadującej znalazł on podparcie w rodzinie, co może być dowodem, że nawet w dzisiejszych czasach, gdy nie ma pewnego, matustwo pozostało podstawową komórką społeczną. Żona pana Szerokiego spotkała na polnej drodze Krystynę, powiedziała, co myśli o jej prowadzeniu się, a następnie zdrówo wiała. Tak przynajmniej twierdzi Krystyna. Ślady pobicia były wyraźne, brakowało natomiast świadków, rzecz ma już zatem swoją historię przed wymiarem prawa i pewnie szybko nie

skończy się, pani Szeroka nie przyznaje się.

Jeśli chodzi o sprawę tego gwałcenia, to formalnie jest już ona zamknięta. Kolej uznala, chyba szumnie, że swe decyzje służbowe podejmie po decyzjach sądu powozecznego. Wyrok instancji powiatowej nie nabrał prawomocności. Szeroki odwołał się do Sądu Wojewódzkiego, a ten wydał wyrok uniewinniający oskarżonego. Zbyt dużo było wątpliwości, zbyt wale dowody. Zresztą, gdyby nawet dziewczyny zgwałcono i przyszły na milijony od razu, potargane, w poszarpanej odzieży, posiniaczone, ze śladami szamotaniasia się... A tak, po jakimś czasie... Jak patrzeć na ładną, zadbaną buzię i wyprasowany uniform, ustalić, co wtedy się działo? I tylko poniekąd, co ładniejsze, kolejarzy, pytane dziś, czy Szeroki nie próbuje dobierać się do nich, odpowiadają, że obecnie nie, bo dostał nauczkę. A dawniej? „Do mnie nie, niech pan za to pogada z innymi”...

Więc tylko czasem nocą dzwieny telefon u Sympatycznego, a gdy ten podniesie słuchawkę, słyszy „Judasz, judasz!” i mówi, że przysięgłby, iż poznaje głosy córek Szerokiego.

Niebo nad stacją nie rozchmurzyło się. Anna i Krystyna złożyły do ministra sprawiedliwości wniosek o rewizję nadzwyczajną, zawiadamiając też o wszystkim ministra spraw wewnętrznych, Prokuratora Generalnego PRL, Zarząd Główny Ligi Kobiet, „Falę 56”, „Przyjaćiółkę”, „Kobieta i Życie”, „Sprawy” i „Chłopską Droge”. Co dalej, zobaczymy. Główny sygnatariusz antyszerokich, pan Sympatyczny, zapowiada, że nie spocznie, dopóki sprawiedliwość nie stanie się zadość, a chamstwo ukrócone. Zapowiada i słowa na pewno dotrzyma, gdyby nawet Szeroki miał nie wiadomo gdzie chody, a podobno daje do zrozumienia, że ma i to wysoko.

— Czepili się nas, że żyć się odechciewa. Tylko Jezus i Matka Bo-

ska wiedzą, ile nasza rodzina wycierpiała niewinnie — prawie wplakuje przy biurku sekretarza „Kamery” pani Szeroka. Trudno ustalić, co ją przywiodło do redakcji. Może rozmowy przeprowadzane przez reportera pisma z uczestnikami konfliktu? A może determinacja Sympatycznego?

Pan Sympatyczny to dziwny człowiek. Dyrekcja chciała przenieść Szerokiego na inną stację, nie jest z tym zadowolona, ale i nie rewelacyjnym. Proponowano to stanowisko Sympatycznemu. Był już niedługo zawiadował, ma kwafilikację. „O nie!” — odpowiedział. — Co to, to nie. Po co taki kłopot na głowę, tuż przed emeryturą? Chcę tylko doprowadzić sprawę do końca”.

Jak się tak z boku patrzy na burzę przetaczającą się nad stacją, można się zdrowo uśmieć. Wielkie chmury i mały deszcz. Ale spróbujcie wczuć się w sytuację uczestników: „A co by pan powiedział, gdyby tak pana córce, młodej, wrażliwej, ufniej, ktoś starszy od jej ojca wpychał siłą brudne łapy do biustonosza?”. „A gdyby tak pana żonie chuchał próchnię i drapał twarz swoim nie ogolonym pyskiem? Darowałby pan?”. „A gdyby tak pana oskarżono o próbę gwałtu, o kradzież węgla? Falszywie, bez świadków i dowodów! Nie skróciłoby to panu życia? Zawału można dostać”.

I wyobraźcie sobie jeszcze, że wykończycie pracę w sobotę w południe i do poniedziałku rano macie spokój, a zawiadawca, jeśli chce kiedykolwiek oddalić się ze stacji w nieznaną na dłużej niż 3 godziny, musi telegrafować do swego naczelnika i uzyskać jego zgodę. Zaś częste proszenie nie jest przez zwierzchnika chwalone.

I wyobraźcie sobie jeszcze, że w takiej malej dzurce takich zawiadawców jest czterech, równi sobie ranga, żaden żadnemu nie podlega, każdy w innym kolorze, jak w talii kart. Grają ze sobą nieustannie, ale każdy siedzi przy innym stoliku.

Romuald Wiśniewski

Kamona str. 7

DYWAGACJE KONTROWERSYJNE

Dokończenie ze str. 1

czyja tytuł, czy funkcja, niż jego poglądy. W tym stanie rzeczy zanikała płaszczyzna, na której możliwa była dyskusja nad tymi poglądami. Skutki są powszechnie znane i przedstawiać ich nie potrzeba.

Jeszcze i w tej chwili wielu działaczy odruchem nawykowym oczekuje kolejnych ścisłych dyrektyw działania i denerwuje się, że ich nie ma, oni zaś przywykli jedynie do wykonywania. A co się stanie, jeżeli ścisłych wytycznych w ogóle nie będzie? Czy to zwolni nas od obowiązku koncepcyjnego myślenia? Przecież hasło dyskusji z masami członków partii i obywateli bezpartyjnych, z dółnymi ogniwami partyjnymi i państwowymi, nie jest niczym innym, niż wezwaniem do inicjatywy i samorządności. Tylko w takich formach działania możemy wykazać się poczuciem współodpowiedzialności za wszystko, co się dzieje w kraju, województwie, powiecie, mieście, gromadzie. A dzieła się sprawy wcale nie łatwe, ba — bardzo trudne.

Niedostatek artykułów żywnościowych na rynku wysuwa na plan pierwszy sprawy przyspieszenia rozwoju produkcji rolnej. Państwo zapewni więcej nawozów sztucznych, maszyn i sprzętu rolniczego, ale to jeszcze nie zredukuje skutków procesu starzenia się naszej wsi, powodującego coraz większy brak pełnowartościowych rąk do pracy w rolnictwie, nie zniweluje skutków postępującej urbanizacji, która w każdym roku pochłania obszar ziemi uprawnej o powierzchni przeciętnego powiatu.

Proces starzenia się wsi można zahamować tylko przez zwiększenie atrakcyjności pracy w rolnictwie, a to oznacza zwiększenie jej opłacalności, a więc i podniesienie cen na artykuły rolne. Równocześnie oznacza wzrost poziomu techniki i cywilizacji wsi, a więc i skierowanie na wsi multum maszyn, środków transportu, oznacza nowe drogi, komunikację i łączność, oznacza nowe formy budownictwa, zapewniające możliwość wyrównywania różnic cywilizacyjnych między miastem i wsią. To właśnie z tych względów na całym świecie występuje tendencja wzrostu cen produktów rolnych, która nie może i nas ominąć.

Grundlowe decyzje partyjno-państwowe kierownictwa w tej mierze wa-

le nie były pozbawione racji, chociaż nie wolno ich było forsować przy obecnym poziomie zarobków mas ludzi pracy, gdyż to one zawsze stanowią podmiot działania, a więc ich sytuacja materialna musi determinować ekonomiczną politykę.

Powiem więcej — grudniową regulację cen traktuję jako przejaw tendencji do pełniejszego zorganizowania rynku według prawa podaży i popytu, które zawsze najlepiej określa profile produkcji, gdyż wyraża społeczne zapotrzebowanie. Ale przecież nie wolno było dopasowywać się do prawa podaży i popytu na siłę, w warunkach, kiedy podział dochodu narodowego jest ogromnie zroznicowany. W konkretnej sytuacji myśl sama w sobie słuszną, stała się grubym błędem. Taka chyba była isota grudniowego „odchylenia”.

Największe różnice między podażą a popytem odczuwamy w dziedzinie artykułów spożywczych, a więc w sferze produkcji rolnej. Optyzmizm więc napawa fakt, że na te dziedziny nasze władze partyjne i państwowe zwróciły szczególną uwagę. Wykładnikiem tej uwagi jest polityka protekcyjna względem hodowli i szerszego stosowania nawozów sztucznych, jest też nawoływanie do odciążenia wsi od przerosłych biurokratycznych. Obawiam się jednak, że żadne nawoływanie nie dadzą wyniku, jeśli w ślad za nimi nie nastąpią konkretne decyzje organizacyjne.

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że o wynikach calorocznej produkcji rolnej decyduje przede wszystkim okres jesieni, tzn. wykonanie przez rolnika wszystkich prac polowych, które w tym okresie powinny być wykonane. Tymczasem jak rolnik ma te prace w pełni wykonać, jeśli w najgorętszym okresie produkcji jest zmuszony poświęcić połowę swego czasu na załatwianie spraw zbytu i zaopatrzenia swego gospodarstwa? Wprawdzie od dwóch — trzech lat nastawiamy się na odciążenie rolnika przez dotarcie aparatu skupu i zaopatrzenia do samego producenta, ale robimy to za wolno, za nieśmiało i raczej nieudolnie.

W tym miejscu może ktoś się obruszyć: a skąd brać do tego środki transportu? Przecież trzeba by ich nie wiadomo ile! Będzie to odruch zrozumiały, ale przecież mało rzetelny. Zasada koncentracji środków jest stara jak świat. Oczywiście, że nieczego nie rozwiąże przydzielenie każdemu PZGS-owi w województwie 2-3 samochodów ciężarowych. Natomiast pozwól na zorganizowanie pełnego zaopatrzenia i skupu w jednym powiecie przydzielenie jed-

nemu PZGS-owi samochodów przewidzianych dla innych powiatów. Np. połączmy PZGS Lublin niewątpliwie mogłoby się przy takiej pomocy pokusić o pełne obsłużenie rolników swego terenu. Zdobyte doświadczenia porządnie później lepiej realizować podobne zadania w pozostałych powiatach województwa. Ale trzeba zerwać z pol- i czterech środkami, wykazać pełne zdecydowanie i odwagę. Bo w warunkach istnienia naszej drobnotowarowej gospodarki chłopskiej sprawy zaopatrzenia i skupu produkcji rolnej urastają do rozmiarów problemu kosmicznego. Nie mniej nie wolno nam z tego powodu opuszczać rąk i rezygnować z podjęcia prób gruntownej zmiany sytuacji. Wydaje mi się zresztą, że zjawiska starzenia się wsi i stalego ubytku rąk do pracy w rolnictwie same podpowiedzą nam jeszcze niejedno konieczne rozwiązanie.

Jednym z najdotkliwszych problemów ludności miast jest powolne tempo budownictwa mieszkaniowego. Zjawisko to jest powodowane przez trzy przyczyny: 1) niedostatek materiałów budowlanych; 2) niedobór siły roboczej; 3) brak terenów pod zabudowę. Spróbujmy się do tych przyczyn ustosunkować w dowolnej kolejności.

Co pewien czas odzywają się u nas głosy o zapaleniu zielonego światła dla budownictwa indywidualnego — domków jedno- i dwurodzinnych. Nie ulega wątpliwości, że takie rozwiązanie zapewnia częściowo zaspojenie głodu mieszkaniowego, a przede wszystkim pozwala szerzej uruchomić środki inwestycyjne pozostające w dyspozycji indywidualnej. Ale zdając sobie sprawę z niepopularności mojej opozycji, chcę jednak ją założyć. Proponowane rozwiązanie załatwia chyba problem na dziś — jutro. Tymczasem w dziedzinie budownictwa trzeba myśleć kategoriami przyszłości — co najmniej dwóch przyszłych pokoleń. Bardzo mnie ciekawi, co będą o nas myśleć nasi następcy, kiedy stwierdzą, że zmarnowaliśmy podmiejskie tereny budowlane na zabudowę domków jednorodzinnych? Już przy obecnym tempie rozwoju miast do takiego przerosła nie wolno dopuszczać, zarówno ze względu na przyszlność, jak i teraźniejszość. Ta ostatnia bowiem wymaga istnienia możliwie najbogatszej bazy warzywniczej na peryferiach miast, które obecnie w szybkim tempie zabudowujemy, nie oglądając się na problemy zaopatrzenia ludności. Jeśli równocześnie stwierdzamy, że

urbanizacja pożera nam co rok obszar przeciętnego powiatu, to nie ulega wątpliwości, że tereny budowlane należy wykorzystywać o wiele oszczędniej. Raczej forujmy luksus budowania mieszkań o większej przestrzeni użytkowej, w których człowiek będzie mógł nie tylko mieszkać, ale także żyć. A jeśli tereny budowlane mamy wykorzystywać oszczędniej, więc wszystkie preferencje należy zapewnić budownictwu wysokostanowemu i wielokoblockowemu, które z czasem nawet chyba i na wsi zdobędzie sobie prawo bytu. Musi do tego dojść zarówno ze względu na malejące obszary uprawne, jak i na brak rąk do pracy w rolnictwie oraz konieczność zmian w poziomie cywilizacyjnym wsi — pod kątem jego równania z życiem w mieście. Konkluzja — myśląc kategoriami przyszłości trzeba dojść do wniosku, że budownictwo indywidualne, przede wszystkim w mieście, należy jednak ograniczać. Na wsi natomiast również preferujemy budownictwo zbiorowe, zaś nasi urbanści i architekci powinni bez zwłoki przygotować jego formy praktyczne, możliwe bogate i uwzględniające perspektywy cywilizacyjnego postępu wsi.

Niedobory siły roboczej nasze budownictwo pokrywa dzięki usilnym zabiegom o pozyskanie robotnika wjeźskiego. Podobnie zresztą radzą sobie różne zakłady przemysłowe Lubelszczyzny. Nie sądzę, aby ten stan rzeczy szybko uległ zmianie, chociaż każdy rok w Polsce rzucza na rynek pracy 200 tys. nowych rąk roboczych. Wobec równoczesnego braku tych rąk w rolnictwie słyszy się głosy proponujące zwolnienie z przemysłu i budownictwa tzw. chłopo-robotników, co miałyby być zawarowane odpowiednim dekretem państwowym. Nie bardziej fałszywego nad takie rozwiązanie! Być może, dałoby sobie radę w podobnej sytuacji zakłady przemysłowe, ale nigdy nie zdolałoby się wywiązać ze swych zadań budownictwo Lubelszczyzny. A chyba i w kraju. Zło istniejące w dziedzinie zatrudnienia jest w tym wypadku złem koniecznym.

Braków w zakresie materiałów budowlanych nie można traktować jako problemu nie do rozwiązania. Przy istniejącej bazie produkcji prefabrykatów budowlanych, której zresztą w pełni nie wykorzystujemy, można zdziałać wiele, choćby tylko przez dostosowanie profilów produkcji do zapotrzebowania. Mamy też dobre doświadczenia z lat 1956—1957, kiedy potrafiłmy uruchomić dziesiątki cegielni i zespołów wypалу cegły, które potem zwalczano różnymi restrykcjami. Nie będzie trudno wykorzystać tych doświadczeń i znów uruchomić złoza indywidualnej energii. Tylko tym razem ostrożniej z restrykcjami!

Powrócę na chwilę do sprawy zatrudnienia, tym razem w aspekcie naszego handlu. Mianowicie niepokoi mnie zjawisko, skądinąd naturalne w handlu, pogoni za ziółką. Wyższym tej pogoni jest szerokie przechodzenie na tzw. system agencji. Przekazujemy w agencje lokale gastronomiczne, sklepy i punkty usługowe, bo ten system bardziej zapewnia zyski. Ale czy równocześnie system agencyjny nie ogranicza naszych możliwości w dziedzinie zatrudnienia? Na pewno tak, nie mówiąc już o samoograniczeniu naszego systemu kontroli względem placówek handlowych.

Wreszcie coś niecoś o problemie kontroli. Prasa przynosi wiele materiałów na temat marnotrawstwa. Zjawisko temu ma zapobiegać system kontroli, ale nasz system kontroli, zarówno państwowego jak i społecznego, działa więcej niż źle.

Jaka na to rada? Trudno powiedzieć, ale przecież próbujmy. Wiedzę wymaną ludzi? Smutno mi, ale na razie to rozwiązanie sztywne. Jednak próbować trzeba, szukając przy tym pomocy w typowaniu kadr u załóg robotniczych, mieszkańców bloków mieszkalnych i w. Najskuteczniejsza chyba byłoby operacja pracy ludzi pełniących różne funkcje kontrolne o zasadę wynagradzania ich określonym procentem wartości faktycznej, która została dzięki nim zaoszczędzona, czy też uchroniona przed stratą — kradzieżą lub marnotrawstwem. Zdaje sobie sprawę, że ta zasada nie jest ze sobą groźna niebezpieczeństwem, gdyż stwarza pole do nowych nadużyć przy obliczeniach zaoszczędzonych wartości, a także naraziła na depresję charakterystyczne do dopiekania bliźnim. Ale mimo wszystko zasada materialnego zainteresowania ludzi sprawujących funkcje kontrolne wydaje mi się jednym z realnych środków uzdrowienia systemu kontroli państwowej i społecznej.

Jest wreszcie jeden najlepszy środek naprawienia wszystkich błędów i wynaturzeń: to stała kontrola zawodowej i moralnej postawy swych członków przez podstawa organizacje partyjne. Jednak taka kontrola może być skuteczna tylko wtedy, kiedy całkowicie zniwelujemy różnice w obcowaniu między członkami partii, istniejący podział na małych i dużych, gdyż podział taki zamyka usta krytyce i kontroli. Wprowadzenie atmosfery absolutnej równości wszystkich członków partii przez rzeczywiste branie pod uwagę ich uwag i postulatów jest w tej chwili bodaj najważniejszym zadaniem wszystkich partyjnych instancji. Zrealizowanie tego postulatu będzie najlepszą gwarancją zabezpieczającą partię przed nawrotami okoliczności, w których ciągle od nowa trzeba odkrywać rzeczy dawno odkryte i po raz nie wiadomo który uczyć się na tych samych błędach.

Leszek Siemion

KOGO ZA KIEROWNICĘ?

Od lat występuje w Polsce brak kierowców zawodowych. Posiadacz prawa jazdy I lub II kategorii ma możliwość zatrudnienia się, gdzie tylko chce. W małej osadzie i w mieście wojewódzkim. Nawet stołeczna Warszawa, hermetycznie zamknięta dla amatorów osiedlenia się w niej, oferuje kierowcom pracę w swych przedsiębiorstwach komunikacyjnych, a do tego pokój w hotelu robotniczym, w dalszej zaś perspektywie spółdzielcze mieszkanie. Krótko mówiąc, transport samochodowy rozwija się szybko, a kierowców zawodowych brak. Tym bardziej więc wydaje się dziwne, że tak nieoszczędnie gospodarujemy fachowcami tej specjalności.

Tysiące przedsiębiorstw w całym kraju zatrudniają doświadczonych, wysoko kwalifikowanych kierowców do prowadzenia samochodów osobowych, przeważnie marki „Warszawa” lub „Wolga”. Dzień pracy takiego kierowcy składa się głównie z drzemania na tylnym siedzeniu.

Godzina — półtora jazdy z województwa do powiatu, czy odwrotnie, potem siedzenie w wozie, gdy tymczasem pasażerowie są na konferencji, jakaś mała jazda na obiad, znów siedzenie w wozie i godzina-półtora za kierownicą w drodze do domu.

Od paru lat wozy służbowe mogą prowadzić także dyrektorzy lub inni wytypowani przez dyrekcje pracownicy — nie kierowcy. Zarządzenie to nie przyniosło spodziewanego efektu, to znaczy nie spowodowało przesunięcia większej liczby kierowców z wozów osobowych na autobusy i ciężarówki. Jakże bowiem zwolnić kierowcę, gdy z wozu służbowego korzysta nie tylko dyrektor, lecz także inni liczni pracownicy? Przecież dyrektor nie ślądzie za kierownicą, by powieźć starszego referenta w teren.

Placówka, w której pracuje, posiada sześć „Warszaw” i, oczywiście, zatrudnia sześciu kierowców plus konserwatora. Według mojej orientacji wystarczyłoby zupełnie

zatrudnienie dwóch kierowców. Prowadziliby oni wozy wtedy, gdy wyjazd jest dłuższy i powrót nastąpi późną nocą, a zatem pasażer jest zmęczony całodzienną pracą czy konferencją, kierowca zaś wypoczęty, bo spał w wozie. W innych wypadkach kierowcy powinni zajmować się konserwacją kolejno odstawianego samochodu, zaś wozy służbowe prowadzić powinni pracownicy. Ci, którzy właśnie w danym dniu jadą w teren. W ten sposób zaoszczędzono by cztery etaty kierowców i jednego konserwatora.

W Polsce podobnie 5 milionów ludzi posiada samochodowe prawo jazdy, dziesiątki tysięcy nieustannie się szkolą. Dlaczego nie wykorzystacie ich umiejętności? Oczywiście wiadomo, że wóz prowadzony przez wiele rąk szybko się zużyje, niż kierowany stale przez jedną osobę. Lecz oszczędność na kierowcach wynagrodzi to i nawijką. Dotychczasowa praktyka zezwalała, i to wyjątkowo, na prowadzenie wozu służbowego tylko dyrektorowi, wynikała z braku zaufania do szerszego grona pracowników. Czymże jednak grozi danie tych uprawnień innym? Ze będą wozić przygodnych pasażerów, „lebków”? I

tak kierowcy wożą. Ze po drodze zboczą o 10 km z trasy i zajądą odwiedzić znajomego i krewnego? I tak dysonans wozów to robia. Ze mało wprawni kierowcy mogą spowodować wypadki? Owszem. Nie czarujmy się, że skoro ktoś zdał przed państwową komisją egzaminacyjną na prawo jazdy, jest już pełnowartościowym kierowcą. Jednakże przy naszych zamiarach umasowienia motoryzacji ani się spostrzemy, jak na drogach pojawiają się nowe zastępy niedoświadczonych kierowców. Nie będzie dziury w niebie, jeśli doświadczać się przy okazji prowadzenia służbowego wozu.

Naiwnością byłoby przypuszczenie, iż przeciętny Polak spragniony jest przejażdżki i nie myśli o niczym innym, jak prowadzeniu służbowego wozu. Większość posiadaczy praw jazdy zapewne woli jechać z kierowcą, bo przecież prowadzenie wozu to fatyga, zwłaszcza na gorszej drodze, czy przy gorszych warunkach. Poza tym jadąc z kierowcą, można śmiało tu wypić jeden kieliszek, tam drugi. Wydaje mi się jednak, że czas najwyższy, aby zagadnienie potraktować nowocześnie, racjonalnie. Zwolnienie na kierowanie wozem służbowym powinien wydawać dyrektor. A wydawać będzie, jeśli instytucja posiadająca np. sześć wozów, otrzyma tylko dwa etaty kierowców — konserwatorów.

Rzecz jasna, że są ludzie na poważnych stanowiskach, którzy nie mają prawa jazdy i nie mogą go zdobyć, bo np. stan zdrowia nie pozwala im na prowadzenie wozów. Takiego, trudno, musi wozik kierowca. Ale tych, którym nie chce się ukorzyć kursu, zechcieć należy np. dodatkem 3 czy 10 zł do diety dietnej za prowadzenie samochodu. Opłacić się to na pewno. W każdym razie sytuacja obecna nie może trwać wiecznie. Prowadzimy rozrzną gospodarkę kadrami kierowców, na jaką nie zdobyłoby się wiele zaможniejszych krajów.

Specyfiką typowo polską jest też widok samochodu dostawczego, stojącego pod sklepem, z którego dwóch robotników wynosi skrzynki z towarami, konwojent liczy i zapisuje w notesie, a kierowca siedzi w wozie i pali papierosa. Wszędzie na świecie taki kierowca prowadzi wóz, jest konwojentem i rozładowuje towary, bo te czynności nie kolidują ze sobą. Brak nam dziesiątek tysięcy ludzi do pracy fizycznej. Jeśli w Polsce kierowca autobusu może bez ujmy sprzedawać bilety, jeśli kierowca w pogotowiu ratunkowym nosi chorego na noszach, to kierowca wozu dostawczego może rozładowywać towary. Trzeba mu tylko za to zapłacić. Ale to na pewno będzie wydatek rentowny.

Jan Bolkowski

PIÓRA ZWIĄZANE PRZEZ DYREKCJE

GAZETY zakładowe mają do spełnienia kilka funkcji: informację o działalności przedsiębiorstwa i istniejących w nim komórek organizacji społecznych, mobilizowanie załogi do efektywnej produkcji, wreszcie troskę o sprawy socjalne i bytowe załogi oraz o praworządność i porządek w przedsiębiorstwie. Te ostatnie zadania wymagają niejednokrotnie krytycznego spojrzenia na stosunki wewnątrzzakładowe. Ga-

zety zakładowe krytykują więc, niektóre prowadzą nawet specjalne rubryki satyryczne. Niestety, krytyka ta uderza tylko w najbliższe szczeble zarządzania przedsiębiorstwem. Wyjątkiem jest zaatakowanie zastępcy naczelnika wydziału, nigdy nie trafia się negatywna ocena naczelnika wydziału. Wicedyrektorzy i dyrektorzy są całkowicie poza zasięgiem krytyki prasy zakładowej.

Byłoby to zjawiskiem normalnym, gdyby gazety zakładowe występowały jako organa dyrekcji. Tymczasem formalnie wydawane są przez samorządy

robotnicze czy rady zakładowe, faktycznie jednak jest inaczej. Redaktorów prasy zakładowej angażują do pracy, awansują w niej i zwalniali z niej dyrekcje przedsiębiorstw. Od dyrektora zależne są nagrody i premie redaktorskie. Nic zatem dziwnego, że gazety zakładowe aż gęste są od lizusowskich wiadomości: dyrektor zrobił to, powieździł tam, przyjął tego, poklepał tamtego. Dyrektor z profilu i dyrektor en face. Dyrekcja może podjąć najbardziej niekorzystną dla załogi decyzję, może zaniedbać swe podstawowe obowiązki, a gazeta nie płnie słowem. I dopóki sytuacja będzie taka jak obecnie, do redaktorów trudno mieć o to pretensję.

Moim zdaniem, redaktorzy gazet zakładowych powinni być zaangażowani do pracy i zwalniani z niej przez zarządy okręgów związków zawodowych. Mogliby wtedy z całą śmiałością walczyć nie tylko o efekty produkcyjne, lecz i o prawa robotników.

Andrzej Barańnik

SŁOWA, SŁOWA, SŁOWA...

SŁOWA, słowa, słowa, słowa, które nie znają — napisał Jan Zakrzewski w „Polityce” o manii niektórych publicystów do nieuzasadnionego używania słów i zwrotów obcojęzycznych. Trzeba podkreślić, że nowomodnych makaronizmów unikają na ogół czelowe pióra polskie. Za to wielu dziennikarzy średniego i niskiego lotu wprost lubuje się w tych „play-backach, play-bojach, long-playach, singlach” i innych pretensjonalnych określeniach, mających rzekomo świadczyć o intelekcie i oczytanu autora, a w rzeczywistości pokrywają echem jego nieporadność, ubóstwo wariatywa i słaba znajomość polskiego. Język nasz jest tworem żywym, przekazuje swe wartości innym językom, bierze też z innych. Rozwój techniki wkomponował język o takie słowa, jak „komputer”, „televizor”, „wideofon” i inne, na których zastąpienie nie mamy poręcznych odpowiedników rodzimych. Być może, z czasem powstana określenia polskie i wypra obce, tak jak niedługo „aeroplan” został wyparty przez

„samolot”. Na razie jednak nie używajmy słów obcych wtedy, gdy mamy równoznaczne, lub bardzo zbliżone własne. To opeł. Rzeczywistość, niestety, jest smutniejsza. Wzrost wymiany międzynarodowej grozi pogłębieniem tego zjawiska. Francuzi ubolewają obecnie nad zamknięciem ich języka przez angielski, Francuzi jednak przyznają, że są z tego skądś, używając jakichś mało znaczących określeń, a tym bardziej zwrotów obcych, dają w odniesieniach wyjaśnienia. I to nie tylko popularne popołudniówki, ale nawet gazety przeznaczone dla wskiego, wyrobionego kregu odbiorców. Prasa francuska donosi o jakichś ważnych wydarzeniach w mało znanych rejonach świata, natychmiast zamieszcza reprodukcje map tych rejonów, formacje encyklopedyczne, sylwetki przywódców, charakterystyki organizacji politycznych i ruchów społecznych. W prasie polskiej poza „Trybuna Ludu” i „Życiem Warszawy”, prawie się tego nie spotyka. W prasie terenowej niemal zupełnie nie. Dlaczego?

Maria Teresa Karpińska

Ziemia i Pieśń

Rok VII Kwiecień 1971 Nr 19

Henryk Biłka

Bazie

Coś z wiosny dla żoneczki
Niech na stole zagości —
Bazie przysłyżnąd rzeczkę
W całej swej piękności.

Kryją wiosny uśmiechy,
Słońce w ich puszczkach tli się —
Pulehnutkie te pociechy
I puszyste jak misie.

Stoją dumnie w flakonie
I śmieją się radośnie —
Niech twe serce zapłonie
Przy nadchodzącej wiosnie!

Andrychów

Apollinary Nosalski

Pisanki

Spotkały się
dwie pisanki,
wielkanocne
malowanki
i sprzeżwały się od rana,
która piękniej
jest ubrana

— Ja jestem
w zielone lilie!
— A ja
w błękitnej motyle!
— Ja dwie bazie mam srebrzyste!
— A ja
kasztanowy listek!

Spór toczyły do wieczora,
aż nareszcie
przyszła pora,
że upadły
na podłogę
i stłukły się
obie.

Milków, pow. Parczew

Adam Pach

Krokusy

W słonku ubrano,
Lilijowo,
Roześmiano
Krokusami
Walcokowa polana
Ciepły wiaterek
Musko kwiatecki
Spiskiego szafrańca.
Delikatnie dygocem,
W słonku migocem
Słabućkie,
Jako ranno mgielka.
Wstały spod śniegu
A już nad nimi
Unosi się psółka.
Wiosny zwłastuny,
Uciecha ciekła,
Zdobne krokusy,
Co grają w struny
Cłowiecej duszy.

Zakopane

Jan Nadolny

Psiersy drozd

Dzisiaj zaksieluł psiersy drozd
w dąbrowie nad rucajem
co jeszcze chrzybziet skutu mo
lodowym jermzem białem

Jeszcze w cigędzi plotna śnieg
wrzeczęj rozposter swoje
a ten ci jucha gardziel drze
na zlosny ceść przeboje

a serce me posłało mu
odzew w kniej słońcem złana
keni je wielgi wielgi rum
zniejsę sie w niem z kochaną

niech eno zytko psieśnią swą
matyjaśności prec przegoni
postazie jej cudowny dwor
z mech myślow i mech dloni

postazie ci cudowny dwor.

Wielbark, pow. Szczytno

Słownik: chrzybziet — grzbiet, cigędz —
cień, gęstwina lasna, kenl — gdzie, je —
jest, rum — miejsce, eno — tylko, maty-
jaśności — smutki, wrzeczęj — niby.

Ignacy Antosz

Barwy wiosny

Ziemia ma brawny jak tęczą,
ja na niej śladem od stopy, rysem
spodem koła obreczy,
spadem z jabłoni za plotem.

Dopiero tworzę harmonię,
gdy zza chmur słońce przebłyśnie,
gdy zarzą w zaprzęgu konie
alarm na wiosny poczęcie.

Kotomierz pow. Bydgoszcz

Sabina Derkaczewska

Wiatr

Wiosenne niebo zasnuły chmury,
Kurzu tumany gna wiatr do góry,
Młode gałązki szarpie i targa,
Zaświszcze w drzewach, w kominie
zagra.

W wiśniowym sadzie kwiaty
postrzęca,
W małym ogródku tak zwinnie
pięsa,
Pędzi przez pola pełen swawoli,
Chwilę się wstrzyma w lesie topoli.

Między drzewami przejdzie powoli,
Aż się na czyste pole wyzwoli
I znowu pędzi, szumi i śpiewa,
Chyła się przed nim krzewy
i drzewa.

Zagroda, pow. Krasnystaw

Stanisław Buczyński

Aż się skowronek rozspiewał

Jakiś zółcieniec
Wprost po pas w wodzie
Dziwny wyprawia
Taniec.
Kto to?
Zółty kaczeniec
Na żółtych główkach
Odmawia
Kwiatniowy różaniec.

Jakiś odmieniec
W wodzie się trzęsie,
Z braku gitary
Gra na wierzbowej dudzie.
Puścił się w taniec
Na żółtych nóżkach —
Dziwy a dziwy,
Wprost nie do wiary, ludzie!

Tańczy i śpiewa,
Śpiewa i tańczy
I przytupuje
Ognicie,
Aż się złapały
Za włosy drzewa,
Aż się skowronek rozspiewał
Srebrzyście!

Kotorów, pow. Hrubieszów



Wycinanka Sabiny Derkaczewskiej z Zagrody pow. Krasnystaw.



Fot. Moroz (CAF)

Hanka Nowobielska

Kwiatniowe śpiewonki

Śpiewonki moje — daleko lecę —
z wiosnianym wiatrem polećcie we
świat
i syćkim ludziom grojcie na gólach
te nutki, ftyryk ucy was kwiecień.

Dyć w kazdym sercu jest jakoś
tesknoś
nieśmiało, jako bazieek pusek,
ale zywotno, jako krokusy,
co pod śniegami budzą się wiosną.

Śpiewonki moje — może zdołacie
przerucić w serce cyjesi mostek,
by sie ze smutków zimowyk
przeckło

I bez nutecki wase nojproście
(te włośnie, ftyryk ucy was
kwiecień)
cyjesi serce — pozdrawiś wiosną.
Hanka Nowobielska

Melania Burzyńska

Wiosna

Słońce zapala ognisty lont,
ziemia ustawia zielony front,
strzelają w górę kwiatowe paki,
biją pod niebo strzały — skowronki,
słońce tka życie na ziemi kwiatach
— hej, wiosna, wiosna!
Jaświly, pow. Mońki

Gość z Kanady

Stanisław Januszko

Tułaczy talizman

Garść ziemi zabrałem spod progu mej chaty,
Ten sercu polskiemu nadroższy talizman,
Gdy wieś swą musiałem opuścić przed laty,
Nie wiedząc, gdzie czeka mnie nowa ojczyzna.

Gdy siedłem z pól naszych, na ścieżki tułaczę,
Graniczny las żegnał mnie smutnym szelestem,
i rzeka szumiła: — Na drodze przeznaczeń
Bądź wiernym twej ziemi — pamiętaj kim jesteś!

Spojrzałem za siebie w znajomy mrok kniei
I żal mnie ogarnął, co gorzkie tży rodzi.
Po latach niewoli, obietnic, nadziei,
Musiałem z ojczyzny do obcych uchodzić.

I chroniąc skarb drogi, wędruję po świecie:
Przez morza i lądy, kraj gwarny i głuszę,
A za mną tęsknota — jak w zimie, tak w lecie,
Przy pracy i w domu wciąż trawi mą duszę.

Po nocach, w snach widzę rój ptactwa nad wodą,
Las, łąkę kwiecistą i zagon nasz żyzny,
I nie wiem, czy kiedyś mnie drogi zawiodą
Z powrotem do Polski — do mojej Ojczyzny!

Gdy umrę wśród obcych — duch „Lete” przekroczy,
O jedno was, bracia, dźlś proszę serdecznie,
Tą ziemią ojczystą zasypcie mi oczy,
Niech mi się w mogile mej Polska śni wiecznie.

List do przyjaciela

Przyjacielu — ja Polskę w głębi serca noszę,
Po różnych krajach, lądach, w każdej życia chwili,
O Jej dziejach rycerskich chlubną prawdę głoszę,
Chcę Jej sławy przysporzyć, nieba Jej przychylić.

Gdy wieczór gwarnie miasto uciszy, omroczy,
Gdy pograży się w tęsknej, skupionej zadumie,
To wówczas jakieś inne, utajone oczy
Widzą piękno, którego opisać nie umiem.

Płyną przed moim wzrokiem barwnym korowodem:
Pola, łąki kwieciste, gaje i dąbrowy,
Zimy: — mróz, zasypany śnieżną, rzeki ścięte lodem,
Kulig po leśnych szlakach, nagonki i łowy.

Widzę kopalnie, huty, fabryki i stocznie,
Które mądra myśl twórcza w całość wspólną sprzegła,
Z pracy wspólnej, wytrwałej, codziennie, corocznie,
Rośnie bogactwo kraju, narodu potęga.

Widzę Was naukowcy, artyści, lekarze,
Was, którzy polską twórczość, kulturę i wiedzę,
Niesiecie wielu krajom, różnym ludom w świecie,
Daleko poza granic narodowych miedze.

Pluszczą mi fale jezior, wiatr owiewa góry,
Złoci się w słońcu piasek bałtyckich wybrzeży,
Wije się wstęga Biebrzy, szczyca się Mazury
Przepychem lasów, jezior — perłami Macierzy.

O Polsko! — Tobie służę ofiarnie i szczerze
Każe miłość mi, która z mej jaźni wykwiła,
Bo wciąż jestem Twym synem — Twym wiernym żołnierzem,
Dla której oddam wszystko, no bo nie żal życia.

Jeśli coś z nas zostaje po fizycznym zgonie,
To pragnę w innym bycie, choć na chwilę krótką,
W płytkiej bruzdzie, pod miedzą, przy ojców zagonie,
Zakwitnąć, którąś wiosną — skromną niezabudką.

Jak drzewiej w Janowcu bywało

NAJWIĘCEJ turystów przyciągają do Janowca ruiny zamku, wokół którego krąży wiele różnych legend. Najpopularniejsza z nich, o czarnej damie pojawiającej się o północy w jednej z komnat zamku, prowokuje śmiałości do stawiania jej czoła. Nikt jednak, jak dotąd, nie mógł się przekonać o jej istnieniu — pokazuje się ona bowiem tylko latom niewinnym.

Od czasu do czasu, wieczorami, ukazuje się mieszkańcom Janowca diabeł we fraku i cylindrze — chce on podobno wskazać miejsce, gdzie są ukryte skarby — ale nikt nie chce mu towarzyszyć. A swoją drogą, ile na takim „diablu” i „damie” zarobiliby Anglicy czy Amerykanie?

Gdyby tak zanurzyć się w życiu Janowieckim, a nawet cofnąć cokolwiek w nie tak znowu bardzo daleką przeszłość, można wiele wizerów i opowieści wydobyć ze starego kufra.

Dotarli do naszych czasów wprawdzie szczątki dawnych wizerów i obrzędów — warto wspomnieć o nich z okazji zbliżających się świąt wielkanocnych.

Wielki Tydzień bogaty był w różnego rodzaju wierzenia, obrzędy i praktyki magiczne. W niedzielę palmową, po przyniesieniu palmy z kościoła, wszyscy domownicy „lykali bażki” (i teraz w niektórych domach zachował się ten zwyczaj), aby zapobiec bólowi gardła. Palmę święconą zatykano za obraz — miała podobno mieć moc odpędzania piorunów. W Wielki Czwartek, kiedy młkła dzwony w kościele, mali chłopcy odgłosami kółek zwoływali mieszkańców na masę. Dawniej wierzono, że za pomocą kółek odpędza się złe duchy, zgromadzone wokół kościoła.

Wierzono też, że w Wielki Piątek woda odzyskuje właściwości uzdrawiające. Przed pierwszą wojną światową ludzie chorzy na wrzody szli przed wschodem słońca wykapać się w rzece, wygłaszając przy tym jakąś formułę, której obecnie nikt z mieszkańców nie pamięta.

Również przed wschodem słońca dziewczęta biegły do rzeki, nie oglądając się za siebie dopadały jej brzegów i szybko w zimnej wodzie obmywały twarze — miało to przyczynić się do zachowania ładnej cery.

Poświęcone w Wielką Sobotę woda i tarcina używane były często do zabiegów magicznych. Wodę święconą pili wszyscy członkowie rodziny, aby zabezpieczyć się przed chorobami, używano jej też powszechnie do oczyszczania uroków. Wyglądało to następująco: do szklanki zwykłej wody wypuszczano kilka kropel święconej wody, następnie wpuszczano po jednym rozżarzoną węgielką z węgla drzewnego, odmawiano trzy razy „Zdrowaś Maria” i pytano, od kogo pochodzi urok: od stworzenia, od powietrza czy od człowieka? Zatonienie węgla wskazywało, kto rzucił urok. Po odwołaniu modlitw pocierano „zuroconego” tą wodą, np. jeżeli to była krowa, pocierano ją od tyłka do mordy, a następnie pluto trzy razy mówiąc: na psa urok.

Wody święconej używali też mieszkańcy Janowca do święcenia ziarna przed siewem.

Do drugiej wojny światowej gospodarze w lany poniedziałek o świcie zawolali krzyżki z tarciny na pole, ustawiali je w czterech rogach, aby ochronić zbiory przed silnymi deszczami i gradobiciem. Również przed drugą wojną światową w Wielką Niedzielę, przed zrezygnacją kobiety obcinały kołtuny. Należało taki kołtun obciąć w momencie bicia dzwonów — nigdy już podobno nie odrastał.

Najciekawszym jednak, zachowanym do dziś obrzędem, nie spotykanym w innych regionach Polski, jest obrzęd zwany bębnieniem. Odbywa się on w Janowcu w Wielką Sobotę. Przed drugą wojną w Janowcu były dwa bębny żelazne, pokryte skórą. Dwie grupy chłopców w wieku od piętnastu do dwudziestu lat chodziły przez wieś. Przed rozpoczęciem obchodu przyległym zwyczajem było dziurawienie skóry na bębnach i zbieranie pieniędzy na nową. Pokrywano je najczęściej skórą psa — dawała podobno najlepszy rezonans. Za zebrane w ten sposób pieniądze urządzano ucztę na Górze Zamkowej przy ognisku. Po uczcie zaczynał się obchód.

Dwie grupy chłopców rozchodzili się od kościoła w dwóch kierunkach: jedna w stronę cmentarza, a druga w stronę Wisły, po czym z powrotem spotykały się pod kościołem. Grupy szły z pochodniami, przystawały przed każdym domem, bębniły, w ten sposób przypominając mieszkańcom o radośnej wiosni, jaką jest Zmarłychwstanie Pańskie. Dziewczęta wynosiły chłopcom placki. Obchodem tym zwykle towarzyszyły psoty. Chowano narzędzia rolnicze, wozy stawiano na stodołę lub wynoszono różne rzeczy z obejścia gospodarza na inny teren. Trudno dociec, jaka jest geneza tego obrzędu. Prawdopodobnie za czasów świetności zamku heroldowie biciem w bębny zwoływali całą wieś, aby ogłosić jakąś ważną wiadomość, należało więc sądzić, że zwyczaj bębnienia zachował się z tamtych czasów, lecz nadano mu inną funkcję. Zwyczaj ten zachował się do dzisiaj (choć pozostał tylko jeden bęben), stanowi on przedmiot dumy wszystkich mieszkańców i wzmaga poczucie odrębności w stosunku do innych wsi, spełniając nadal ważną rolę w integrowaniu mieszkańców Janowca. Z różnych stron zjeżdżają się całe rodziny pochodzące z Janowca, aby wziąć udział w tym wielkanocnym obrzędzie.

W niedzielę wielkanocną tłumy ludzi gromadziły się w kościele — po rezurekcji dopiero zasiadano przy suto zastawionych stołach. Na stół wjeżdżał pieczony prosiak przybrany barwinkiem, pisankami i kielbaskami. Starsi ludzie wierzyli, że lupiny ze święconych jaj leczą kurzą ślepotę. Zabieg polegał na tym, że lupiny rzucone na ogień paliły się, a dym miał właściwości lecznicze.

Przed wojną lany poniedziałek, czyli tak zwana „leja”, była w Janowcu okazją do zdemonstrowania uczuć. Kawalerowie od rana dybali na swoje sympatie z wiadrami wody, a niekiedy porywali je i zanurzali w korycie z wodą, dużo było przy tym pisku i wrzawy. Panny uciekały, ale każda marzyła o tym, żeby być oblaną, gdyż świadczyło to o jej powodzeniu. W przewodnią niedzielę, dziewczyna musiała podarować pisanek temu chłopcu, który ją oblał.

Dyngus kończy cykl obrzędów i obyczajów okresu wielkanocnego.

Janina Babinec

Emilia Michalska Wiosna

Rozłożyła wiosna
swoje złote krosna,
promycków nabrała,
dywan z nich utkala.

A jakie w nim wzory,
jakie w nim kolory:
cieple, pastelowe,
mięciuteńkie, nowe!

Nakryła nim łąki,
miedze, sady, lasy.
Hej, nadeszły godów
najszczęśliwsze czasy!

W kółko śpiew i radość,
aż kipi ochota!...
Witaj nam, wiosenko,
rostomila, złota!

Pruchna, pow. Cieszyń

Wilhem Piwowarczyk

Przedwiośnie

Deszczem lunęło jak z cebra —
Niebo chmurne, a wiosenne
gryzie skrami ciężka febra,
grom trzaśka w ziemię niezmiennie.

Rzekami groźnie polala
się woda gliną zmętniała
i toczyła swoje biegi,
i szumiała, i tętniła,
ostrym nurtem świszcząc białą —
podmywała twarde brzegi...

Z brzegu na brzeg zarzucono
nikłą kładkę, krągły drąg —
na nim przestrach dziwy łąg,
szczyrzył gębę rozmoczoną...

Wybiegł człowiek małuteńki
śpiewania wysłuchał fal,
wybiegł dzieciak głuputeńki,
synek Tatry i miłośce hal...

Poili serce w wody szum,
duszę poili piódną dum,
serce z falą na głębinie,
dusza w deszczu gęstym ginie,
słychać smętne łkania hal,
słychać smętne łkania hal...

Zakopane

Zwyczaje świąteczne w Białostockiem

WIELKANOCNE obrzędy ludowe na wsi białostockiej — w świetle materiałów, jakich dostarczyła znana poetka Melania Burzyńska ze wsi Jaświly, pow. Mońki — rozpoczynają się od przygotowania palmy. Ubiiera się więc wierzbowe gałązki bardzo przemyślnie papierowymi kwiatkami, farbowanymi strużynami, barwinkiem i jałowcem. Zasadniczym jednak elementem akładowym palmy są kiście trzciny. Działają dziewczęta i chłopcy niechętnie noszą już palmy, bowiem wolałoby rozkwitłe w ciepłe mieszkania gałązki wierzbowe. Dzieci i młodzież w niedzielę palmową wstają bardzo wcześnie i biegną do sąsiednich domów, ażeby zastać kogoś w łóżku i rozpocząć „wierzbowanie”. Polega ono na biciu różgą wierzbową przy równoczesnym deklamowaniu tradycyjnego wiersza:

„Wierzba bije,
Nie zabije,
Za tydzień
Wielki Dzień,
Nie uszkodzi,
Nie uszkodzi,
Do kościoła wybierajcie!”

Obecnie — jak informuje wspomniana poetka — „wierzbowaniem” zajmują się wprawdzie tylko dzieci, ale nie oszczędzają one i starszych.

Do tradycyjnych zwyczajów wielkanocnych należy też generalne sprzątnięcie mieszkań: Kiedyś wybierano do tego celu jeden z pogodnych dni Wielkiego Tygodnia. Wynoszono z domu na podwórko dosłownie wszystko. Szorowano sufity, framugi, myto okna i drzwi, bielono ściany, odwieziano meble. Na końcu myto podłogi, a że chodników nie rozkładano, gdyż do Wielkanocy brakowało parę dni, ścielono na ziemi dużo słomy, by nie zabrudzić podłogi do świąt. Dziś taka czystość byłaby nie do pomyślenia, bo przecie do uprzątniętego mieszkania wraz ze słomą wnosiło się wiele kurzu. Dawniej słomę tę przez parę dni deptano a nawet układano się na niej do snu. Właśnie to wspólne spanie całej rodziny i możność tarzania się po niej, ile dusza zapagnie, stanowiło rozrywkę dla dzieci.

Wielka Sobota kładła kres słoniwym uciechom i niosta nowe: płócenie, placków i malowanie jaj. Jaja malowano przeważnie w cebulniaku, kto natomiast chciał mieć pisanek, musiał przed malowaniem zdobić je roztopionym woskiem w różne wzorki. Wosk nie dawał jednak zbyt delikatnych wzorków, toteż jeszcze częściej wydrapywano agrafką lub igłą znacznie misterniejsze desenie. Robiono też czasem przemyślną pisanek w oryginalny sposób: szorowano farbowanym jajkiem po podłodze posypaną piaskiem.

Niestety, i w tym zakresie wiele się już zmieniło. Coraz częściej obok naturalnego barwnika, tj. lupin, cebuli, spotyka się tanie i łatwe dostepne barwniki chemiczne. Nadal jednak — jak twierdzi Melania Burzyńska — zachował się zwyczaj obdarowywania chrześniaków pisanekami w drugi dzień Wielkanocy. Dawniej wręczano ich cztery wraz z pajdą „pieroga”, czyli białego kołacza. Obecnie ilość darowanych pisanek zwiększyła się w trójnasób. Poza tym chrześniaki otrzymują lakoce i prezent rzeczowy. Dzieci przez cały dzień biegają z pisanekami, uczestnicząc w tzw. „wybitkach”. Gra ta polega na stukaniu pisanek o pisanek partnera. Czyje jajko pęknie pierwsze, ten przegrywa je i musi oddać zwycięzcy.

Inaczej zabawia się dzisiaj młodzież. W pierwszy dzień Wielkanocy wieczorem chłopcy chodzą „wolać”, czyli śpiewać pod oknami pańien. W nagrodę za śpiew otrzymują pisanek i ciasto. Zebrane produkty przeznaczają się na wspólne przyjęcie, na które zaprasza się również niektóre dziewczęta. Niektóre tylko dlatego, że część z nich może się obrazić, za złowliwe docinki, jak np.:

„Za stodołą sarna
przyszedł lat rosta,
Dziwną się ludzie,
że za mat nie pozsta!”

Czasem też kpiny dosięgają i matkę, które nie wydały za mąż bodaj jednej z kilku córek, np.:

„Siedzi niedziwiedź w jamie
i wyciąga łapy,
Błada też matasi,
co ma cory gapy!”

Przyspiewek tego rodzaju jest wiele i chłopcy mają z czego wybierać do charakterystyki danej pańien. Są jednak i przyspiewki pozytywne, schlebające, którymi śpiewacy poplują się tam, gdzie spodziewają się dostać od gospodyni kielbasę, np.:

„Od samej Warszawy
topolnie sadzą —
jeszcze nie urosła,
że za mat nie pozsta!”

Dzisiaj „wolonkanie” wychodzi już z mody, ale spotyka się go jeszcze we wsiach oddalonych od miast i traktów.

Nieodzownym rekwizytem świąt wielkanocnych w Białostockiem była dawniej huśtawka. W dużej wsi stawiano kilka huśtawek, dostawianych do wieku użytkownikom. Tu właśnie skupiało się życie towarzyskie młodzieży wiejskiej w czasie świąt i poświęconych niedziel. Dziś już i ten relikw należy do „rzadkości”.

Zupełnie nie znanym zwyczajem w tym regionie jest tzw. dyngus. Jest to o tyle zromawiane, że Ziemia Białostocka nie została objęta kolonizacją niemiecką i siłą faktu ten składnik popularny niemal w całym kraju zwyczaj tutaj nie zdobył sobie prawa obywatelstwa. Wyraża natomiast renesans przeżywa pisanekarstwo. Pod patronatem kół gospodyń wiejskich organizowane są konkursy pisanek na różnych szczeblach — od gromady począwszy.

Oprac. Elżbieta Rosiak

Buletyn STL

Długo trwały starania Zarządu Głównego STL o otrzymanie zezwolenia na wydawanie własnego „Buletynu”. Dzięki życzliwości i poparciu udzielonym przez władze projekt został zrealizowany i w marcu br. pierwszy numer „Buletynu STL” został oddany do druku. Pismo będzie — jak na razie — wydawane dwa razy do roku w formacie A4 i objętości 32 stron. Na treść i numer złożyły się m. in.: 173 historyczny, ukazujący drogę prowadzącą od MKPL do STL, referaty i wypracowania, dział „Tworcy o sobie”, dokumenty, komunikaty i informacje o działalności STL, wiersze poetów ludowych i reprodukcje rzeźb, wycinanek, pisanek itp. Nie ulega wątpliwości, że ten tak i niecierpliwie oczekiwany pierwszy numer naszego własnego pisma ucieszy wszystkich członków Stowarzyszenia Twórców Ludowych i sympatyków samorodnej sztuki chłopkiej w Polsce.

Maria Kozackowa

Baranek wielkanocny

GDZIEŚ po Nowym Roku wszedłem do sklepu obuwniczego w Dąbrowie Tarnowskiej. Ubiegła zima nie żartowała i zapamiętanie się w ciepłe obuwie było moim zadaniem. Nie dla siebie nie znalazłem, ale moja uwagę zwróciła dyskusja między matką a 12-letnią córką.

Obydwoje chciały kupić bućki, tylko że każda inne: matka trzeszki na płaskim obcasie, praktycznie i wygodne „do skarpetki”, córka u-parla się na „srebrne” kozaczki na obcasie. Były na nią o wiele za duże, a cholewki skrzywały niemal kolana. Kiedy matka nie chciała się na nie zgodzić, bo i cena była podstępna, dziewczynka uderzyła w płacz. Dopiero przytomna sprzedawczyni wytłumaczyła dziecku, że może przysłać mniejsze, to sobie kupi. Matka chciała więc „na razie” kupić tamte skórzane, ale córka oświadczyła twarde, że i tak ich nie włoży, bo by się koleżanki z niej śmiały.

Zamyśliłam się, ile się to przez te 23 lat zmieniło w poglądach na modę, ubiorach i zamozności ludzi! A jak było zaraz po wojnie? Wspomnienia uporczywie cisną się do głowy. Pamiętam rok 1945.

Byłam przewodniczącą powiatowego zarządu Chłopskiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, objęliśmy opieką dzieci z pasa pofrontowego: uracali tam ludzi z wysiedlenia — do zgłiszcz. Nie było wówczas czym dzieci wyżywić, odziać czy obuwić, nie było nawet gdzie mieszkać! Klecono naprzecde szalasy z rozebranych bunkrów pontemieckich: schronienia, gdzie nierazko jedynie cienka ścianka z deski przegradzała „mieszkanie” ludzi od pomieszczania dla krowy, jeśli się ją udało utrzymać, było dalej był jaki taki nad głową...

A przecież trzeba było ratować i zdrowie dzieci, chronić przed krzywdą i anemią z niedożywienia, bo z samego pasa frontowego (tuchodnia część pow. Dąbrowa Tarnowska — 13 wsi) było ich zarejestrowanych ponad 300!

Pisałam więc apele do pracy o pomoc dla tych dzieci i trzeba przyznać, że nie bezskutecznie: nadeszły wiele paczek z odzieżą i obuwem pod adresem Ch.T.P.D., choć często ofiarodawcy nie podawali nawet

swójgo nazwiska, lub tylko inicjały, żeby nie było podziękowania w gazetach; wzniesząca to była dobroć tych bezimiennych ludzi!

Raz przysłała do nas „delegacja”: trzech chłopców i dwie dziewczynki ze szkoły podstawowej wieś wsi N., z prośbą o buty. Wysunął się jeden, może 10-letni chłopczyk i powiedział: „On nie ma butów i ta reszta też boi, bo mamusi nie stać, a fatyś zginał na wojnie; pani proszę do gazet, to nich napisze, może ktoś przysła, bo ludzie są dobrzy a nas jest pięćoro w domu, ale dla mamusi”. Obiecałam, że zrobię, co będę mogła, toteż mała delegacja co jakiś czas przysyłała swojego rzecznika, czy aby marzenia o butach nie stały się faktem... Wreszcie, kiedy „system” przysłał mi 175 par tramppek, wyrosła jak spod ziemi cała piątka.

Zaczęło się radosne oglądanie i przymierzanie, wreszcie każde dziecko z paczuszką w ręku, po odpowiedniej ilości uściśnięć dla mnie i instruktorki (szkoda, że nie ofiarodawców!), odchodził szczęśliwie, rozśmieszony... Już zakrzykiwały schody, gdy jeszcze drżąc się otwarty i wrócił ów chłopczyk, co to pierwszy referował sprawę — podszedł do mnie i powiedział: — „Nie chciałem przy lemych, ale ja przecie tak za darmo tych bućków wziąć nie mogę!”

Wyjaśniłam, że to przecie nie on sam, a raczej jego usara w dobroć ludzi przyniosły mu ten dar. Ale chłopczyk stał nieprzekonany, wreszcie oświadczył: „To ja się już pani odwdzięczę, czym będę mógł”. „Dobrze, już dobrze, odwdzięczysz się, a teraz leć i pokaż mamusi swój skarb” — powiedziałam wzruszona...

Uplynieło parę tygodni, wręczyłam ją w morze zdobywania kawałka chleba, bo nas też doszczętnie zniszczyła wojna, zapomniałam o chłopcu i jego obietnicy. Widziałam go czasem biegnącego do szkoły w samym sweterku, który z czasem pokryła duża watrońska z demobilu. Kłaniał się zawsze uśmiechnięty, jakby rzeczywiście życie miał tak beztroskie...

Aż po jakimś czasie przychodzi do nas na górę z miną toczącą tajemnicę. Wstrząsnął na ogół szeroko, czymś wypełnionym i jakby żywym. Podchodzi do mnie i mówi: „Proszę

się nie gniewać, że do tej pory com przysięgi nie zrobił. Ale to nie, żeby zapomniał, tylko nie miałem co pani przysłać. Dopiero wczoraj udało się wyjechać na zachód i dać mi, to ja tu mam dla pani” — tu rozplął wstrząśniętą i wyciągnął z niej... gołębia!

Rozkrzyżony wzrok dziecka, jaki utkwił w tym gołębiu, ściśnięty, jak wleka to była ofiara... Długo wytłumaczyłam, jak jestem wzruszona jego pamięcią i rzekomy obowiązkem wdzięczności, niemniej jednak gołębia przyjąć nie mogę, bo nie miałabym go gdzie trzymać, a zresztą jeden by uciekł, bo to niedołęca...

Jakby kamień z serca spadł chłopcu, mniej się zmartwił moją odmową niż myślałam, przyznał, że istotnie miałabym z gołębiem kłopot, o czym wcześniej nie pomyślał. Ale on przyniesie coś takiego, co będzie można gdzieś ukryć, „moja w tym głowa!” — i wypadł na schody.

Znowu upłynął tydzień, gdy idąc na górę spotykam „mojego” chłopca, czekającego na mnie na schodach. Uśmiechnął się jasno i powiada, że ma do mnie prośbę. Zapewniam, że każdą spełnię w miarę możliwości, więc chłopczek z głębi wstrząśnięty wyciąga jakiś przedmiot i wręczając mi mówi, że on to kupił za sprzedanego wczoraj gołębia i „proszę wziąć!”

Nastąpiły te same tłumaczenia tym razem bezskutecznie: uparto się chłopie i tyż mu stanęły w oczach. Wzięłam więc prezent i uściśkawszy go, oblałam serdecznie pozdram na górę. Mężczyźni serce dojrzałam, jak chłopak rekwami otarłszy oczy z gutzaniem zjechał po poręczy na dół, gdzie czekała reszta „delegacji”, ciekawo skutku. Kiedy na górę otwartam paczuszkę, znalazłam w niej... baranka wielkanocnego!

Tyle ich już miałam w życiu: z gliny, cukru, gipsu czy piernika — żaden przecie nie był mi tak drogi, jak ten, ofiarowany sercem szrywdzonego wojną chłopskiego dziecka!

Ale... to chyba dobrze, a raczej bardzo dobrze, że dziś dla wiejskiego dziecka skórzane bućki mają mniejszą wartość jak tamte trampki — symbol stwierdzenia, że „ludzie są dobrzy”...

WYRAZY DO WPISANIA

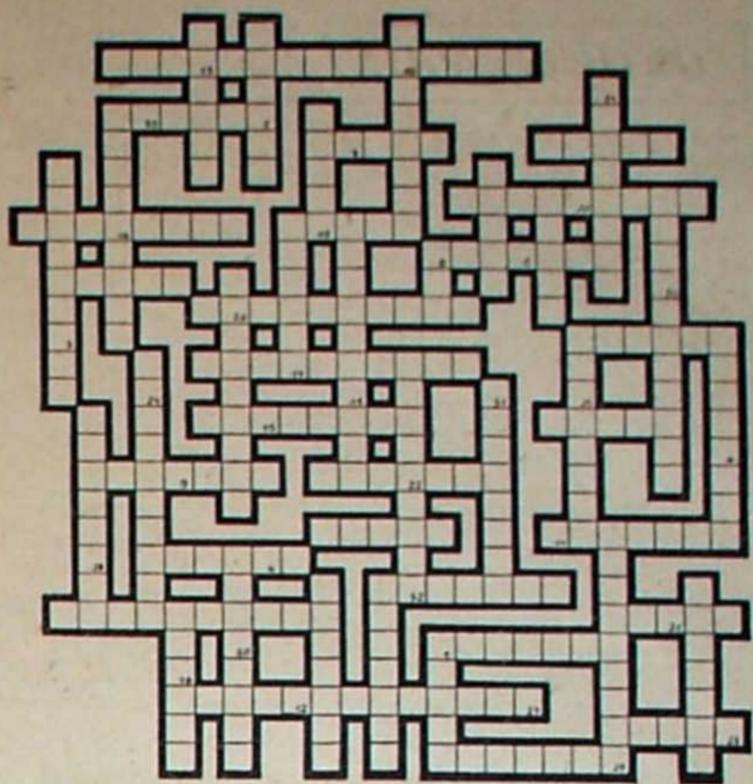
- 3-literowe: bak
- 5-literowe: Gajos, Hanin, Kamas, Karol, Lothe, Nowak, Ordon, Orsza, Raksa, Stoor, Turek, Zykm.
- 6-literowe: Dymasz, Jaraż, Litwin, Opania, Słaska, Zaczek, Zeinik.
- 7-literowe: Braunek, Chamiec, Kanicki, Lapicki, Miłcki, Nowicki, Pieczka, Seweryn, Siemion, Zaorski.
- 8-literowe: Artemski, Filipski, Herdegen, Karwicz, Kowalski, Mikulski, Niwiński, Wolljko, Zawadzka.
- 9-literowe: Krakowska, Machulski, Niemirska, Opaliński, Szajewski, Sviderski.
- 10-literowe: Dzięwoński, Gogolewski, Perepecko, Smiałowski, Wiśniewski.
- 11-literowe: Kobuszewski.
- 12-literowe: Woszczerowicz.
- 13-literowe: Matyjaszkiewicz.

Należy odgadnąć hasło według kolejności zaznaczonych liczb.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 6
POZIOMO: Kartowicz, Chopin, etan, zamiana, nerw, owad, komik, mak, karat, tri, auto, krew, anoda, miasto, zmoza, żyłek, Parki, Parla, ikra, kłosa, erz, Aleko, tan, sople, Anin, kiwi, Smetana, unia, Otello, Afrykanka.

PIONOWO: kornet, Lotwa, wino, swada, Cul, okno, Noskowski, Ermita, zakon, akt, Amur, Karol, Aram, tarka, dzial, Moniuszko, Nysa, opust, Armenia, apel, ikona, ryps, Glinka, ale, kanwa, Akita, Emil, nuty, tlo.

Za rozwiązanie krzyżówki nr 6 nagrody uzyskał: Mieczysław Goetz, Łańcut, ul. Waska 5, Anna Nawrocka Lublin, ul. Trybunańska 21 m. 6B, Izabela Melecka, Lubusko, ul. Tkacka 7, Romuald Gajski Zamość, Koszary, blok 57, m. 13.



Pole bitwy

W PIERWSZYM tomie wierszy Marii Józefackiej — w „Ostrzu” — motywy walki należał do przewodnich. Wskazywał on na dynamiczne widzenie świata, organizowanego przez grę napięć i opozycji. Temu widzeniu pozostała autorka wierna i w swoim drugim zbiorze poetyckim — w „Calopaleniu”. Tu także niemal w każdym utworze można spotkać „kule”, „wojownika”, „obóz”, „fortecę”, „proce”, „klinge”; wiele jest słów związanych z bitwami i potyczkami, kłóskami i wygranymi. I pojedyncze słowa, i zawarte w nich, czy w całych zespołach obrazowych skojarzenia, służą wyznaczaniu jednolitego pola semantycznego. Ku tym wyobrażeniom skłania się z każdym razem autorka, w nich znajduje najcenniejszy budulec poetycki. Gdyby w „Calopaleniu” poszukiwać słów-kluczy, słów uprzywilejowanych, obciążonych szczególnymi znaczeniami, łatwo byłoby o ich wskazanie.

Stwierdzenie tego faktu nie prowadzi jeszcze do niczego, trzeba odpowiedzieć, co to znaczy, o czym to świadczy. Walka dotyczy różnych zakresów znaczeniowych, słowa z tego pola semantycznego mają tu różne zastosowania — od walki politycznej do walki z materią wiersza i na jego terenie. W utworze otwierającym tom przestrzeń międzywierszowa jest frontem, wiersz okopem, a praca pisarska stanowi jeden ciąg potyczek. Ale na sytuację tworzenia nakłada się druga, uutożsamiająca twórczość z samym życiem, bowiem jawi się pytanie:

czy cię
nie roznieście po drodze
czasu granat chyży
Swoista „militaryzacja” wierszy Józefackiej nie prowadzi więc ku sformułowaniu jednoznacznym. Kiedy czytamy strofę:
stopniujesz wieżę urojoną
sądziż że widać będzie dalej
wici rozelesz przed pożarem
czy razem z wieżą przagniesz spłonąć

nie bardzo obchodzi nas dosłowny sens tych wypowiedzi. Ważniejsze jest chyba co innego: możliwości poruszenia i aktywizacji wyobraźni czytelnika, promieniowania znaczeniowego oraz możliwości skojarzeniowych związanych w tym wypadku z wieżą, wiciami i pożarem. Ta aluzyjność i napomykanie stanowią cenną właściwość tej poezji.

Poezję Józefackiej łatwo byłoby nazwać „zaangażowaną”. Tyle że z tej formuły niewielka pociecha. Oczywiście — „Calopalenie” wypełnione jest problematyką współczesną, ale nie za każdym razem pojawia się ona w postaci dzisiejszych realiów. Autorka chętnie ucieka się do przeszłości; czyni to jednak nie dla uniku wobec współczesności, ale by na nią spojrzeć z odległej perspektywy. Stąd cofnięcie się w głąb historii, stąd nawiązania mitologiczne, dlatego też Józefacka obejmuje swoim zainteresowaniem zjawiska z różnych kręgów świata. Toteż takie wypowiedzi jak:

to było dawno temu
elektryka
trupa nadal

czy [mniej] rozstrzelują bezkarnie na wszystkich frontach wyrażają przekonanie, że pomimo wszystko świat jest ten sam, rządzą nim podobne prawa, że — zacytując jeden z wierszy — jesteśmy stale tylko cytat / z pieśni najbardziej barbarzyńskiej / wojennej. A więc istnieją podobne zasady, które otrzymują za każdym razem odmienne wcielenia i realizacje. Dlatego może autorka napisać, że ilon płonie ponad mekongiem. Uniwersalizacja problematyki, uzyskana na tej drodze postępowania, liczy się na korzyść Józefackiej. Niekiedy odsłaniają się jednak strony jego ujemne. Wiersz bez tytułu, z którego pochodzi ostatni cytat, oprócz wymienionych nazw zawiera jeszcze arkiadę, itakę, telemacha, ifigenię, skamander... Wydaje się, iż nadmiar aluzji historyczno-mitologicznych, spiętrzenie ich, uniemożliwia czytelnikowi wprowadzenie własnych skojarzeń; przywołane bowiem nazwy są zbyt słabo wplecione w tkankę wiersza, bez dostatecznej motywacji. Zbytne dążenie ku uogólnieniu zatracza konkretność obrazową.

Najciekawsze wyniki uzyskuje Józefacka tam, gdzie jej wiersze przedstawiają byt „cytatem pieśni”, a więc gdy pozbawia się kostiumów, nawiązań, gdy polega na własnej wyobraźni. Takie utwory znajdują się w drugiej części tomu, a z wcześniejszych to wiersze bez tytułu, zaczynające się od słów: „kim jesteś” i „jedynie twoje”. Myślę więc, że liryka osobista spełnia i zapowiada najwięcej.

„Calopalenie” bez wątplenia dowodzi, że poezja Józefackiej znajduje się na linii wznoszącej. Rozwija się konsekwentnie, rozgrywa według przyjętych zasad i praw wyobraźni. Uczula czytelnika na wiele spraw, wrażliwa jest na to, „co się gdzieś tam droży”.

Tadeusz Klak

Maria Józefacka: Calopalenie. Warszawa 1970. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.

Między cnotą a naiwnością

Dokończenie ze str. 7

jarzenia z „grotowszczyzną” nasuwają się nieodparcie. Patrząc na to w towarzystwie kierowcy (który mnie przywiózł i który zdrowo orzekł: „oni się bawią w teatr sami dla siebie”) oraz znanego krytyka z Warszawy, dziennikarki ze „Sztandaru Ludu” i czterech miejscowych osób. W sumie aż ośmiu widzów. I śmiełem twierdzić, że to nie jest przedstawienie, od jakiego należało zacząć działalność teatralną w tym środowisku. A jeśli nawet zespół chciał od początku taki teatr pokazywać, to trzeba było to poprzedzić jakąś działalnością wprowadzającą. Tak zrobił Jurkiewicz, o którego zresztą pulawskiej pantomimicznej epopei zamierzam pisać osobno.

Stalo się to wszystko za sprawą chyba nieodłącznego idealizmu grupy zapaleńców lub — jeśli miałbym być mniej grzeczny — za sprawą ich świętej naiwności w działaniu idącym całkowicie wbrew realiom sytuacji. W jakiej przyszło im wystąpić. Nie rozumiem na przykład, dlaczego nie zgodzili się

na uczestnictwo w okazjonalnych akademiach. Może wstąpił do tradycyjnej recytacji Broniewskiego? Ależ powinni w takim razie zaproponować coś mniej banalnego, lecz zarazem bardziej komunikatywnego niż „Misterium Buffo”. Może to właśnie dałoby im szerszy kontakt z załogą kombinatu. I może nie byłoby powodów do narzekania, iż na Konferencji Samorządu Robotniczego powiedziano: „po co nam taki teatr, lepiej zbudujmy nową szatnię”.

Jestem absolutnie przekonany o konieczności istnienia tej grupy teatralnej przy „Azotach”, jeśli popularyzacji sztuki i kultury nadal nie mamy traktować jako zabawy sklerotycznej babei z głupawymi wnućkami. Jednak widzę raczej marne perspektywy dłuższego trwania tego teatru w Pulawach, który do tego marzy o uzyskaniu statusu całkowitej samodzielności, a na razie pragnie uzyskać odrębne pomieszczenia w jednej z kotłowni w osiedlu zakładowym. Wszelako jeśli zespół mimo wszystko chciałby tworzyć autentyczną kulturę w tym środowisku, to trzeba nie tylko dalszej niekonwencjonalnej życzliwości ze strony dyrekcji kombina-

tu, ale trzeba także, by członkowie zespołu wyzyli się naiwności. Po prostu naiwności w społecznym działaniu, jakim ostatecznie jest każda sztuka.

Maciej Podgórski

Książki nadesłane

„CZYTELNIK” 1970

- Kazimierz Brandys, Jak być kochaną. Zbiór opowiadań znanego autora. Cena — 18 zł.
- Stanisław Lem, Astronauci. Kolejne wydanie jednej z pierwszych powieści tego autora. Cena — 18 zł.
- Witold Mał, Spór o milczenie. Wiersze. Cena — 18 zł.
- Ewa Ostrowska, Gdzie winą jest duża. Powieść współczesna podejmująca problem konfliktów pokoleniowych. Cena — 13 zł.
- Dora Pawłowa, Szczególny wypadek. Powieść psychologiczno-obyczajowa. Akcja rozgrywa się w środowisku naukowców radzieckich. Tłumaczyła Ema Dmowska. Cena — 29 zł.
- Helena Raszka, Leczba pojedyncza. Wiersze. Cena — 18 zł.
- Stanisław Skoneczny, Objawienia. Wiersze. Cena — 18 zł.
- Iwan Wazow, Typy i typki. Autor (1869—1921) to jeden z najwybitniejszych pisarzy bułgarskich. Zbiór satyrycznych miniatur proza. Tłumaczyła Halina Kalita. Cena — 13 zł.

Najlepszą formą terminowego otrzymywania „Kamenu” jest prenumerata

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciel: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WASNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ KLAK, ZYGMUNT MANKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSLAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMINSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch”. Redakcja nie wzywa materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Alje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unieka 4. Numer łamal WIKTOR MUDA.

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 33. Telefon: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publikacyjny 273-23.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 121; polecony i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 809, 22.111.71, 10.523, A-4

Kamena str. 9

Listy do KAMENY

„Dzwon w sprawie Marii”

Szanowny panie redaktorze! W czasie, gdy tyle się mówi (Pan też) o marnotrawstwie i sprawach ważnych społecznie, doprawdy nie wiem, jak mógł Pan dopuścić do tego, by w Pana piśmie ukazały się takie bzdury jak „reportaż” Romualda Wiśniewskiego: Dzwon w sprawie Marii.

Wydaje Pan do Hrabieszowa i to na kilka dni przedstawiacza tak szczerego pisma jakim jest „Kamena”, po to tylko, by ustalić ile próżni i ile ma lat chora, nieświadoma kobieta. Nie przecięż poza naszą i to już wykorzystaną przez innych sensacyjnością z „reportażu” tego nie wynika.

Pikantni całej sprawie dodaje jedynie treść „Kuchnia” reporterska p. Wiśniewskiego. Długo zapewne będą w Hrabieszowie opowiadali, jak to dystyngowany dziennikarz dęszpiał ochłapy i led wosłoty przez ulice miasta, by rzekomo zyczyliście piekucha. Szkoda, że nie było tam fotoreportera. Zostawiamy to jednak do memuarów i kronik towarzyskich.

Posa śmiesznością rzecz jest jednak bardziej poważna. Czy nie dostrzegł Pan, że tak bliska sprawie można jedną meką decyzyjną mieszających władz rozwiązać? Jeśli władze hrabieszowskie tego nie potrafią zrobić, to tylko świadczą o ich zupełnej inośceni. W reportażu p. Wiśniewskiego o tym ani słowa. Przy takiej umiejętności zalatowania najprostszych spraw zapewne w Hrabieszowie nagromadziło się znacznie problemów. Pan Wiśniewski upatrując się za i z Bem wosłotom zapewne tego nie mógł dostrzec, ale Pan z perspektywą Lublina i doświadczenia dziennikarskiego czyżby też tego nie rozumiał? Reportaż p. Wiśniewskiego jest dżwono — w „Kamieniu” ile się dzieje? Kiedy wreszcie zaczniecie pisać o istotnych problemach społecznych nie tylko jednej kobiety, którą trzeba umieścić w szpitalu lub przytułku? (Tęż też p. Wiśniewski w swym przydługim artykule nie wydedukował).

He zapomniał Redakcja za wyjazd swojego wyświadczenia do Hrabieszowa, za led wosłoty, za papier, kosztu druku i honorarium? Czy to określenie wyświadczenia o określenie każdej zlotówki brulionu to pod uwagę? Czy w miejsce podobnych bzdur nie macie innych tematów? Wielki dziękuję, Panie redaktorze, witelki dziękuję.

Z poważaniem
Jan Zanicki
Lublin

Wstrząsnąwszy w swojej treści reportaż R. Wiśniewskiego, zamieszczony w 6 numerze „Kamenu”, uprząst paraliżujące obywatelskie słońcenie. Jak władze hrabieszowskie mogły dopuścić do takiej sytuacji, w jakiej znajduje się Maria Bractuska? Te wszystkie tłumaczenia przedstawicieli różnych instytucji i władz, usprawiedliwiającej ich rzekomo niemoc w tej sprawie, to nie innego, jak ilustracja obojętności na los bezradnego człowieka, który przelożył przyjaźń zwierząt nad życzliwość ludzi, bo tej ostatniej chyba nie zamtł i się nie spodziewa.

Moim zdaniem przez się znaleźć jakiego sposobu na rozwiązanie tego tragicznego problemu, bez względu na to, czy Bractuska zgodzi się na to, czy nie. Jestem głęboko przekonany, że trochę cierpliwości i ludzkiego ciepła, które by przekonały Bractuską o dobrych intencjach środowiska, mogłoby skłonić ją do zniechęcenia chorobliwego oporu. Najłatwiej odjąć od siebie sprząst powiedziawszy, że nie pomagają żadne personarze. Sądzę też, że zwłania warunków, w jakich żyje Bractuska, przyczyniłaby się do uzyskania przez nią równowagi psychicznej. Zeby tylko nie było za późno.

Adam Grzelecki
Lublin

Dworek Kościuszków

Bodaj od czterech lat trwa na Sławianku w Lublinie remont zabudowy historycznego o wielkiej wartości, jakim jest dworek Kościuszków. Kilkakrotnie już — jeśli wierzyć gazetom lubelskim — obiecywano zakończenie tego remontu, a w skutek generalnej restauracji,

lecz prace nadal trwają, mnożąc koszty całego przedsięwzięcia, prawdopodobnie bardzo już wysokie. Czy rzeczywiste lubelskie przedsiębiorstwo „Pracownice Konserwacji Zabytków” nie może skoncentrować swoich wysiłków w celu zakończenia prac? Czy rzeczywiste wysiłki prace tego przedsiębiorstwa muszą więc się kłamać? Rozumiem: specyfika działań konserwatorsko-budowlanych nie sprzyja szybkiej realizacji, ale są chyba jakieś granice złotego tempa.

Jan Wieluński
Lublin

Kadra domów kultury

Toczy się w prasie lubelskiej znowu dyskusja o kulturze województwa, w której coraz wspomina się o powiatowych domach kultury. Jedni twierdzą, że ich działalność potostawia wiele do życzenia, inni zaś, że pracują na miarę ofiarnych działaczy powiatowych, czyli sprawnie i wyżytecznie, a jeśli coś szwankuje, to wina to okolicznościach obiektywnych. Co racja, to racja, ale do pełnej prawni brak zdaje się kilku obserwacji zasadniczych, elementarnych. Jakoś bowiem niewiele dyskusyjantów zwraca uwagę na poziom owej kadry PDK-ów, mierzony stopniem wykształcenia chociażby. Niewielki odsetek ludzi z wyższym wykształceniem humanistycznym, sporo ludzi z wykształceniem średnim i podstawowym — oto jak przedstawia się ten ludzki potencjał powiatowej kultury. Najbardziej przeciętne istnie, że w powiatowych domach kultury pracują często osoby z przypadku, nie przygotowane metodycznie do swoich funkcji, emocjonalnie zaś profesjonalnej działalności kulturalnej obec. Zresztą sens samej pracy kulturalnej nie zawsze jest wotacisnie odczytywany przez miejscowe władze, dowodem istnienie tylko referatów do spraw kultury przy wydziałach oświaty. Innym dowodem, już spoza PDK-ów, historia z Hrabieszowa, gdzie na kierownika muzeum — wówczas jeszcze czynnego — pchało absolutnie technikum... hotelarskiego. Bo dla znajomka gdzie indziej stanu nie było.

Antoni Górski
Zamość

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Okazja świąteczna się zbliża, więc nie od rzeczy będzie przedrukować obyczajne ostrzeżenie p. L. Z. z Lublina: Postuchajcie, bardzo was prosil, Jakie kalusze na starość znośil. Marakadę wotroby pomoć odkrył. A pod uatrobkę często też pił. Myślki kreślił się w jego głowie. Tak wieleki stada jak w starym myświe. Często rozdawało się jego „ja”. Już po wypiciu lampki do dna.

Serce wystadło, nos miał czerwony. Lat chyba czterdzieści, bo był pomłony. Pamięć gdzieś zmika, a w oczach tiz. Czemuś, gamonu, szkiankami pił!

Pił na chrzcinach i na weseliu. Pił „colowo”, częściej bez celu. Połem ciagnęto, nie dacie wiary?! Szukał w lustrze dla siebie piły!

Pił, a z wypicia ręce mu drżały. Pił, bo miał zarobek mały. Pił, a grunt stawał się orząski. Tyłko z zakąską lub bez zakąski.

Częstotwo oślepił i stał się głuchy. Ale też pił i do poduchy. Stomka, bo ta wyczęca do dna i rozchorz picia też dłużej trwa.

Dziś skończył swoje cztery krzyżyki. Stał się przedarty, zupełnie dziki. Wszystkie, co podle, to nim też się męści. Kończy okropnie, w starszej boleści.

Jego ostatnie przed śmiercią zdanie: „Wódka nas skończy, panowie, panie!” Wesołych i smacznych świąt życzy redaktor niezależnego organu.

Obrazy inscenizowane za tysiące

RASA lubelska dość szeroko informowała o imprezie audio-wizualnej pod nazwą 'Obrazy inscenizowane'...

Aleky, senior lubelskiego aktorstwa, i Adam Kaczmarek, kierownik BWA, mowili żywe parcie przygotowane...

Cena 'żywych obrazów' to nie tylko koszt owej ramy, ale również przeróżne honoraria dla autorów i wykonawców...

BWA chciało zapewnić sprawniejsze do swojej działalności programowej teatr...

FALSETEM

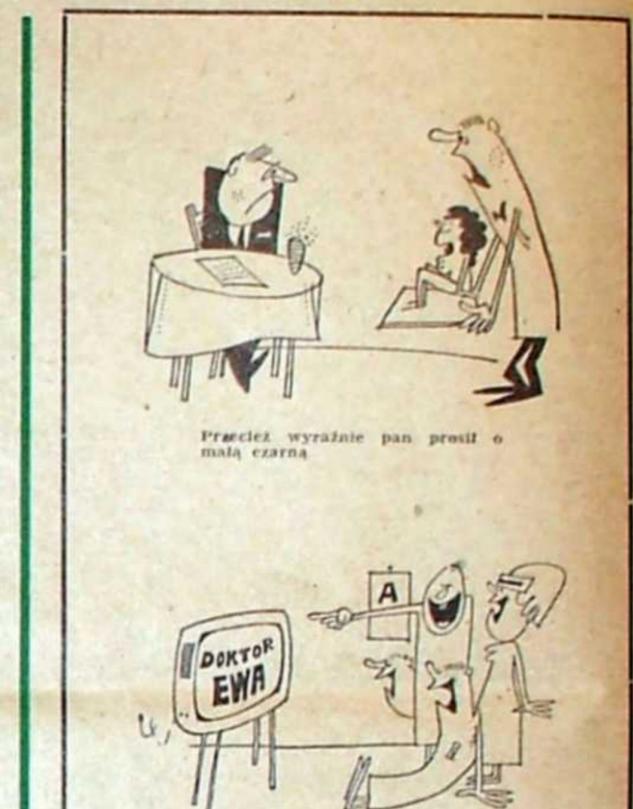
A gdyby referatu nie było?

BO DAJ nie zdarzyło się jeszcze, aby przedstawiciele redakcji 'Kamień' zaproszono w Lublinie na sesję Miejskiej Rady Narodowej...

schematyzmem w myśleniu i postępowaniu, trzeba częścieli zasiegnąć opinii fachowców...

W czym leży przyczyna? Jak dotąd, nie stawiano jeszcze tych spraw na szerszym forum...

najwygodniej, zwalniało od samodzielnego myślenia. W ogóle zwalniało od myślenia...



Przecież wyraźnie pan prosił o małą czarną

FELIETON Z REZERWY

Jaskiniowcy anno 1971

W PRASIE nieustannie trwają rozważania, co przedsiębrać, aby Lublin roku 2000 godny był swoich czasów...

lat osiemdziesiątych XX wieku, lecz do kresowego grafitu z końca zeszłego stulecia...

młodymi dżanami, że jada bez kłutu i zachęcają je do takich ja...

trzeba się zastanowić, dymią i na widowni. Też nie można uspra...

NOTY i notki

'Najważniejszą sprawą dla wykonawców jest oddanie atmosfery, w której żył i działał wielki uczoney'...

Odpowiedzi redakcji

E. B. w Lublinie. Pyta, Pan, czy wiersze posiadają jakąś wartość? Posiadają, tylko zależy dla kogo...

J. J. P. w Szczecinie. Fraszkę słuszną prawdy głoszą, tylko humoru brak w tym wszystkim...

Wokół naszego serialu telewizyjnego 'Doktor Ewa' robi się coraz większa burza...